

43RIDE

magazyn
rowerowy

(9) grudzień 2009

NR. ISSN: 1899-766X

Zawartość 43RIDE

- 3 **Wstęp**
- 4 **Fotoklatka**

- 10 **Pajdaland**
- 11 **Kryzys marketingowy**
- 14 **W poszukiwaniu drogi...**

- Ludzie, wywiady*
- 18 **Kim jest Danny MacAskill?**
- 24 **Fotograf - Krystian Flemming**
- 28 **Young gun - Artur Hryszko**

- Relacje*
- 31 **Bike Park Rokytnice nad Jizerou**
- 35 **Przekraczając granice - Jasna**
- 39 **Enduro Trophy - Bielsko**
- 45 **Sło Kosmo Jam - Słomniki**
- 48 **W poszukiwaniu straconego czasu...**
- 55 **Joy Ride Days 2009**
- 62 **Żywiec Bike Cup - podsumowanie**
- 67 **Tommy i Szczęki w Libanie**

- Miejscówki*
- 72 **Szpindlerowy Młyn**
- 74 **Smutna historia Goćław Dirtu**

- 43RIDE testuje*
- 78 **Napinacz Mozartt**
- 81 **Kamera na kask VholdR**

- 82 **Koniec**

Wstęp...

Za oknem śnieg, zimno i wietrzno. pozostają nam wspomnienia z minionego sezonu oraz przygotowania do kolejnego. Chcąc troszeczkę osłodzić ten „martwy” okres proponujemy Wam dawkę artykułów z zakresu psychologii sportowej, wspominek z ciekawych imprez oraz miejscówek wartych odwiedzenia w nadchodzącym 2010 roku. W tym numerze postaraliśmy się przybliżyć sylwetkę robiącego furorę Danny’ego MacSkill’a oraz przedstawiamy kolejnego młodego zdolnego zjazdowca, Artura Hryszkę. Wspólnie z Tomkiem i Bartkiem wybierzemy się na ciekawą foto-wycieczkę do kamieniołomu, a po drodze zajrzemy na Joy Ride Days, Enduro Trophy w Bielsku oraz na parkowy jam do Słomnik. Warto również zapoznać się z historią o jednej z najfajniejszych miejscówek w Warszawie, która niestety przeszła już do historii...

Kończąc już ten krótki wstęp chcielibyśmy życzyć Wam jak najwięcej powodów do radości, sukcesów oraz dużo, dużo jazdy na ukochanym sprzęcie w przyszłym sezonie. Zapraszamy do przeczytania niniejszego numeru 43RIDE i mamy nadzieję, że będziecie czytać nasz magazyn także i w przyszłym roku!

Redakcja 43RIDE

Zdjęcie na okładce:
Zdjęcie: **Tomasz Rakoczy**
Rider: **Kuba z Sanoka**

fotoklatka



zdjęcie: **Michael Clark**
rider: **Danny MacAskill**
San Diego, Stany Zjednoczone

fotoklatka



zdjęcie: **Jacek Kaczmarczyk**
rider: **Damian „Kolaczek” Kolak**

fotoklatka



zdjęcie: **Jakub Wittchen**
Szpindlerowy Młyn, Czechy

fotoklatka



zdjęcie: *Karol Bereśniewicz*
rider: *Mateusz „Zelus” Seleman*

fotoklatka



zdjęcie: **Ewa Kania**
rider: **Adam „Ufik” Budzynowski**
Park WPKiW, Chorzów

fotoklatka



zdjęcie: **Michał Sikora**
rider: **Krzysztof „General” Kuś**



Pajdaland, strefa czystych związków

Tekst: Zbyszek Nowicki Zdjęcie: 43RIDE

Wszystkie dyscypliny sportowe w Pajdalendzie skupione są wokół związków. Czytając, oglądając wiadomości co i raz napotykam informacje, że działacze piłki kopanej w ilości setek zostają zatrzymani przez niebieskie organy. Ustalane są przyczyny, ustalane są mechanizmy i... nic. Jednych zdejmują w związku piłki kopanej, drudzy przychodzą, robią to samo lecz inaczej, bo „lepiej”. Bunt kibiców, kosmetyczne zmiany, poklepywania prominentnych działaczy i życie toczy się dalej. Eh... ten związek to jest jeden taki w Pajdaladzie – pomyślałem. I czerwona ciecz mnie zalała jak przeczytałem apel rozpaczki zawodników Pajdalandu w piłce rzucanej, że już mają dość reprezentowania kraju w strojach pospolitego ruszenia, zebranych z ostatnich 6 sezonów, dość dziurawych piłek dostarczanych przez związek na treningi, o ile w ogóle dostarczą. Oczy w słup, nie wierzę, panowie zdobywają medale, pokonują lepszych od siebie, a związek? Związek promuje dyscyplinę sukcesu? Idzie za ciosem w ślad zwycięstw drużyny? Wg samych zawodników – nie, wg związku – przepraszamy za wpadkę z piłkami, piłki rzucanej jest teraz więcej w TV niż 6 lat temu i inne teksty mające adorować kibica – ale czy o to chodzi? – pytam.

Ale mistrzostwo osiągnął Pajdalandzki związek 2-ch kótek, jakże ulubionego mojego sportu. Co prawda zawsze zastanawiałem się dlaczego w Pajdalandzie związkowcy promują oprócz szosy i xc tak popularny sport jak kolarstwo torowe, gdzie można śmiało powiedzieć, że jest to sport masowo masowy i nie trudno jest znaleźć co weekend wielu zapalonych kolarzy torowych. Zbudowany za wiele dukatów Pajdalandu tor kolarski służy codziennie wielu młodym zdolnym kolarzom tej dyscypliny, ilość imprez organizowanych w tym obiekcie wymusił listy kolejkowe na wolne terminy. Świetnie prosperujący interes zakłócił jednak mały element, jakże znane w Pajdalandzie słowo – nadużycie!

Dzwonek, dzwonek, słyszę dzwonek, 6 rano, uffffff jak dobrze, że to sen, urwał się ten koszmar. Jak się cieszę, że w moim pięknym kraju, Polsce, wszystko jest OK ;)

KRYZYS MARKETINGOWY

Tekst: Rafał Wypiór vel Mecenat
Zdjęcia: 43RIDE

Wściekłość mnie ogarnia, gdy siedzę naprzeciwko dyrektora Kowalskiego, rozpartego z filmową fantazją w fotelu, z wyżyn którego w trudzie i znoju zarządza swoją firmą, w dodatku na imp lub ex zorientowaną oraz inter – niczym szlachetną patyną – pokrytą. Krew mnie zalewa, gdy obserwuję, jak popada w samozachwył w miarę, jak się rozkręca narzekając na dzisiejsze czasy. Przekonany, że gdyby nie jego geniusz, jego firma dawno poszłaby na dno, w kryzysie odnalazł ostateczne potwierdzenie, że jest właściwą osobą na właściwym stanowisku. Ba, że świecą szukać równie utalentowanego menedżera.

Kryzys to dla niego doskonały pretekst, by ciąć wydatki kosztem innych. A to zwolni się pracowników, a przynajmniej



Źródło: itgovernance.blox.pl



obetnie im premię, której przecież nigdy nie mieli na papierze, chociaż bez tego dodatku praca zamienia się w wolontariat; a to ograniczy się działalność pro publico bono, która przecież zawsze była ekstrawagancją, kpiącą sobie z rachunku ekonomicznego.

Kryzys to czas restauracji zdrowego rozsądku, by w gospodarce i w ogóle w życiu społecznym znowu zapanowała normalność, gdzie nikt nam już nie wciśnie szwindlem podszytych instrumentów pochodnych, czy inwestycji w działalność charytatywną. I coś w tym jest, ale niech Pan pozwoli, że zapytam: "a z czego Pan, Panie Kowalski, zrezygnował w obliczu kryzysu?"

Zakładam, że nie z wystawnego życia, bo jak pokazali prezesi upadających banków: "show must go on", chociażby za pieniądze podatników. Nie sądzę też, by się Pan przesiadł na ekonomiczny samochód. Wszak limuzyna to inwestycja w wizerunek firmy. No więc? Pozwoli Pan, że się rozejrzę po stole? Może tam odnajdę ślady kryzysu.

Skądże znowu, recesja szczęśliwie oszczędziła również Pana brzuszka. A zatem smacznego, proszę wcinąć do woli. A na koniec to, czego nie będzie Pan już w stanie przetrwać i łaskawie wydali, opakowane zostanie papierem miękkim jak jedwab. A ja powiadam, dopóki, przymuszony kryzysem, nie zaczniesz podcierać pupy gazetą, jak to robili nasi ojcowie, dopóty nie masz prawa ciąć wydatków kosztem bliźniego swego.

Teraz będzie o rowerach, bo przecież nie mogę o nich nie wspomnieć. Gdyby nie one, nadal przechodziłbym obojętnie obok tych hipokrytycznych purytan. Tak się jednak złożyło, że w tych trudnych czasach postanowiłem pomóc młodemu, dobrze się zapowiadającemu zawodnikowi, który w tegorocznej edycji Pucharu Polski w fenomenalnym stylu zajął pierwsze miejsce w downhillu.

Złożyłem ofertę sponsoringu pewnemu dystrybutorowi samochodowemu, który nomen omen właśnie wprowadzał na rynek

model z napędem 4x4. Wydawać by się mogło, że będzie to doskonała reklama, móc umieścić na koszulce freeridera logo samochodu, który odważył się porzucić asfaltowe drogi. Przyznam, że w skrytości ducha apelowałem także do pasji owego menedżera, znanego z zamiłowania do kolarstwa górskiego, ba, nie stroniącego od ekstremum. Jaka była moja irytacja, bo niestety nie zaskoczenie, kiedy ów odmówił, wskazując na kryzys, jakby to była oczywista oczywistość, że w kryzysie nie inwestuje się w sport.

Jak to w kryzysie nie inwestuje się w sport? Przeczy temu historia igrzysk. "Panem et circenses" zwykła wołać tłuszcza w dobie napięć i odkąd rządzący pojęli, że sport pomaga okiełznać rozgoryczone społeczeństwo uczyniono z niego na stałe instrument inżynierii społecznej. Dzisiaj teza ta dodatkowo zyskała na popularności, gdy kryzys objawia się w głównej mierze w sferze psychicznej i bardziej niż chleba ludziom potrzeba igrzysk, które pozwolą zapomnieć o powszednich strachach. Zresztą nie zaobserwowałem, by w przestrzeni publicznej sport zajmował mniej miejsca. Nie sądzę też, skoro w jego stronę jak

Źródło: inwestujwsiebie.blogspot.com



zwykle, a może nawet tym bardziej, zgodnie z wyżej zaprezentowaną obserwacją, zwróconych jest miliony oczu, by wydatki na sport uległy ograniczeniom. Równie dobrze można by w ogóle zaniechać reklamy, czego, jak wiadomo, nikt o zdrowych zmysłach nie robi.

Zatem śmiem podejrzewać, że przedmiotem obiekcji było nie tyle wydatkowanie na sport, jako taki, co inwestowanie w młodego zawodnika, o którym jeszcze nikt, poza osobami z branży, nie słyszał. Z pozoru jest to logiczne, tak samo jak pozornie słuszne jest niekupowanie ziemi w rejonie, który aż się prosi o inwestycje, albo nierozwijanie nowych branż lub technologii. Niejeden bywalec salonów może się poszczycić tym, że zaprzeczył tej logice.

W tym przypadku, moim zdaniem, mamy raczej do czynienia z oporem mentalnym, by w młodym zawodniku dostrzec pełnowartościowego sportowca. Wszak nie pokazali go jeszcze na Eurosporcie, a jak wiadomo, prawdziwy sportowcy to ci, których można podziwiać na szklanym ekranie. Ci zaś za oknami to pedały, uprawiający jogging tudzież inne fitnessy. Prawda, jakie to swojskie? Sport masowy, aktywne spędzanie wolnego czasu, to wciąż jeszcze nowinki z Zachodu, niezakorzenione w naszej rzeczywistości, w przeciwieństwie choćby do naszych południowych sąsiadów, z których tak chętnie się śmiejemy. Tymczasem przy nich wyglądamy jak stetryczale dziady, jeżdżący, kiedy już nie da się inaczej (a zwłaszcza samochodem), na "markokeszach", podczas gdy oni regularnie dosiadają swoich markowych rowerów.

Ani się obejrzelismy jak z Polski wyprowadziły się wszystkie przedstawicielstwa światowych marek rowerowych. Teraz kierują dystrybucją zza południowej granicy. Dlaczego? Bo nie zasługuje na większe zainteresowanie naród, którego statystyczny przedstawiciel, zapytany o marki rowerów,

odpowie: wagan, wigry, jubilat.

Ale nie popadajmy w gigantomanię. Pamiętam jak na jednym z downhillowych contestów któryś z zawodników tzw. elity wystartował na jubilate. Oczywiście był to happening, który miał uzmysłwić, że w tym sporcie, jak i w pozostałych dyscyplinach, niezależnie od poziomu zaawansowania technologicznego sprzętu, najważniejszy jest zawodnik. Ba, nawet nie zawodnik, ale fun. Dla radochy zapewne, bo nie dla reklamy swoich bułek i aspiryny, piekarz i aptekarz z włoskiej mieściny robią zrzutkę, by chłopakowi z sąsiedztwa zasponsorować start w zawodach o puchar wójta, prezesa czy piwa.

Przyjdzie czas, być może, że po dobieciu do czołówki chłopak podpisze prawdziwy kontrakt sponsorski. Póki co jednak może liczyć na zwykłą pomoc, a na początku kariery każda pomoc jest nieoceniona. U nas ani na początku, ani w szczytowym punkcie kariery nie można liczyć na realną pomoc, chociaż, przepraszam, znalazł się pewien piekarz, który jak donosi plakat na stacji kolejki na górę Żar, sponsoruje



Źródło: satyrk.pl



Źródło: se.pl

Pora kończyć, by samemu nie stać się ofiarą takiej krucjaty, zwłaszcza że, jak wiadomo, w utarczkach religijnych najbardziej cierpieli nie innowiercy, ale stojący z boku odszczepieńcy. Jestem jednak przekonany, że moja zdroworozsądkowa postawa tym razem nie jest podzielana przez wspomnianego biznesmena, który zapewne ochoczo wyłożyłby kontrybucję na wojnę futbolową. Za to, by jakaś czwarto ligowa Cracovia nosiła na dupie jego proporczyk, sypnąłby groszem naszym hetman wielki cesarsko-królewski.

Od redakcji, Tomasz Profic: Na szczęście podobno kryzys już się kończy, ale wśród potencjalnych reklamodawców / sponsorów wciąż jednak możemy spotkać się ze stanowiskiem, że mamy takie czasy i ze względu na ogólny kryzys gospodarczy nie zamierzamy / nie planujemy / nie chcemy (odpowiednie skreślić) zaoferować jakiegokolwiek pomocy finansowej. Może w końcu doczekamy się wielkiego boomu i sponsorzy zaczną walić do zawodników drzwiami i oknami, ale póki to nie nastąpi, musimy sobie radzić sami. Nie poddawajcie się, a na pewno los się do was kiedyś uśmiechnie! ...i sypnie groszem ;)

naszą wicemistrzynię świata w narciarstwie wysokogórskim (czy ktoś z nas w ogóle słyszał o sukcesach polskich narciarzy w narciarstwie ekstremalnym?).

Przyzwoitość nakazuje wspomnieć o innym jeszcze wyjątku, chociaż ten bynajmniej nie nastraja mnie optymizmem. Mowa bowiem o dyscyplinie, w której pokazujemy się z jak najgorszej strony, zarówno na boisku, jak i, a zwłaszcza, poza nim, w gabinetach działaczy. Im gorzej jednak tym lepiej. Bo w miarę pogrążania się, każdy najmniejszy choćby sukcesik cieszy jak odsiecz wiedeńska. Ba, z perspektywy czasu okazuje się, że ten mały sukcesik jest kolejnym, jakże zasłużonym, potwierdzeniem naszej wielowiekowej hegemonii i przy takiej tendencji nasze porażki to tylko incydentalne wpadki, a w najgorszym wypadku chwile smuty w okresach poszukiwania trenera, który z naszych wspaniałych chłopców znowu poskłada złotą jedenastkę. Bo tak się składa, że przeciętny Polak da się pierwiej pokroić zanim się przyzna, że nasi piłkarze są do niczego. Przecież kwiat polskiego futbolu gra w zagranicznych klubach, więc problem tylko w tym, by selekcjoner na miarę Piechniczka wyzwolił z nich potencjał i dodał huzarskich skrzydeł.

I takim to sposobem na każdego, kto potrafi podbijać piłkę dłużej niż 10 sekund patrzy my jak na Maradonę znad Wisły, a jak takich jak on skrzyknie się jedenastu, to już mamy klub, za który chcemy żyć i umierać, dla którego układamy i wykrzykujemy najbardziej prostackie piosenki i oczywiście, gwóźdź programu, pod sztandarem którego wyruszamy na krucjatę.

Źródło: gigr.pl



W poszukiwaniu drogi...

Tekst: Kinga Kęska
Zdjęcia: archiwum 43RIDE

„Wielkie osiągnięcia mają swój początek w głowie.”

Dlaczego Stefan jeździ pięć lat, ale nie przeskokzył jeszcze żadnej hopki, a Józek wręcz przeciwnie, po 3 miesiącach nie jeździ, a wręcz lata na rowerze?!

W 43RIDE znaleźć można już niemal wszystko, ALE... to czego nam jeszcze brakuje, to psychologicznych aspektów sportu, czyli wszystkiego, co wiąże się z tym dlaczego zawodnik wybiera rower, a nie gimnastykę akrobacyjną, po co to robi, czyli jaka kieruje nim motywacja, jak radzi sobie ze stresem podczas zawodów oraz wiele innych aspektów, o których warto wiedzieć. Stąd pomysł, by zapoczątkować cykl artykułów na temat tego bardziej psychologicznego, duchowego aspektu sportu.

Z dokonań psychologów sportu nie czerpią tylko i wyłącznie profesjonalni zawodnicy sportowi, ale także coraz większa liczba amatorów. Zaczynając interesować się danym sportem ludzie często myślą, że wystarczy kupić sobie dobry sprzęt, deskę, raketę tenisową czy rower plus całe oprzyrządowanie do danej dziedziny sportu, części ochronne - kaski, rękawiczki, narty, obuwie i po prostu sukces gotowy. No tak wiadomo, że nic z powietrza się nie bierze i tak idąc z myślą, iż „*trening czyni mistrza*” idziemy na kort czy stok i trenujemy. Poprawiamy nasze umiejętności techniczne oraz możliwości ruchowe. A gdy jeden element nie wychodzi za pierwszym razem to za dwudziestym wyjdzie, bo go wyćwiczymy. Ale sam trening fizyczny to nie wszystko, zdarza się tak, że osiągając pewien poziom nie pójdziemy już do przodu, staniami w miejscu lub ciągle coś nam będzie stało na przeszkodzie, żeby np. czysto wykonać serwis. Dlaczego?

Aby osiągnąć dobry wynik sportowy i tym samym odnieść sukces, zawodnik nie może być przygotowany jedynie pod względem sprawnościowym – fizycznym. Człowiek jest integralną częścią i żeby mógł w pełni funkcjonować, także w sporcie, musi rozwijać równolegle trzy sfery: fizyczną, umysłową i psychiczną. Nasza psychika, jak się okazuje, ma bardzo duży wpływ na osiągnięcia, stąd też ważne są takie procesy jak motywacja, zaangażowanie, opanowywanie lęku przed zawodami. Z drugiej strony sama psychika również nie wystarczy, bo tylko psychiką nie skoczmy daleko.

Znany psycholog sportu Jan Blecharz, trener w kadrze Adama Małysza, mówił: *"trzeba trenować umysł jak ciało"*, taką właśnie ścieżką musi podążać każdy, kto chce coraz lepiej jeździć, poprzez opanowywanie własnych emocji oraz kontrolę nad nimi, koncentrację przed startem, pracą nad pewnością siebie. Czasami do zawodów przygotowujemy się bardziej lub mniej, dłużej lub krócej, ale w oczekiwany dzień zawodów o danej godzinie musimy być w jak najlepszej kondycji, a takich, którzy uważają, że powinni wygrać punkty, czy nagrodę główną i stanąć na podium jest więcej niż tylko Ty.



W takich sytuacjach szczególnego znaczenia nabiera stan psychiczny danego zawodnika, wygra ten, który nie da się zdominować stresowi. Rozmawiałam niedawno z zawodnikiem startującym w zawodach downhillowych na Wyspach Brytyjskich, który opowiadał, jak to po raz pierwszy zdarzyło mu się, że przez całą trasę zjazdu nie mógł się skoncentrować, ciągle się rozpraszał, a przez to popełnił sporo błędów i w rezultacie stracił sporo czasu i zajął gorsze miejsce. Później analizując całą sytuację nie potrafił odpowiedzieć sobie dlaczego - tłumacząc, iż „*tak się jakoś stało po prostu*”. No właśnie, po prostu.

Generalnie sport jest działalnością człowieka w warunkach ekstremalnych, trzeba przekraczać różne bariery, związane ze swoim ciałem, ze zmęčeniem, ze swoimi słabościami, a sam downhill chociażby jest tutaj podwójną ekstremą, bo jest sportem i sportem ekstremalnym. To takie reklamowe 2 w 1. Chyba nie ma ridera, który stojąc u szczytu by się nie bał, zawsze czuje się lęk, bądź chociażby ten dreszczyk ekscytacji, jest to całkowicie normalne, a lęk który wtedy towarzyszy to lęk biologiczny – lęk o własne zdrowie i życie.

Zawodnicy, którzy uprawiają sport o wysokim stopniu ryzyka, jak kolarstwo zjazdowe czy skoki narciarskie muszą nauczyć się blokować ten naturalny mechanizm lęku, którego skutki są odroczone w czasie, bo często zdarza się tak, iż symptomy tego lęku odczuwa się po skoku/zjeździe w postaci np. drżenia nóg.





Na różnych warsztatach i konferencjach poświęconych psychologii sportu, trenerzy różnych dyscyplin potwierdzają, że kluczem do sukcesu i ciągłego polepszania poziomu (nie ważne czy trenujemy dla siebie, dla zabawy czy bardziej profesjonalnie) w sportach obarczonych wyższym stopniem ryzyka i stresu jest, obok własnych zdolności (nie każdy może zostać baletnicą :)) przemyślany, konsekwentny trening - dzisiaj zrobię to i to, będę ćwiczyć wchodzenie w zakręt itd., a także możliwość sprawdzania siebie, a co za tym idzie przekonywania się o własnych możliwościach, które podwyższają nasze pozytywne doświadczenia tak, że aż chce się jeździć i skakać!

Zdaję sobie sprawę, że ogromna część riderów jeździ jak mówi dla „siebie”, dla fun’u, dla adrenaliny i to ich satysfakcjonuje. Nie wszyscy będą mieli chęci lub też aspiracje do startu w zawodach, bez względu jednak dla jakiej idei się jeździ, warto szlifować nie tylko swoje umiejętności rowerowe, ale także te charakterologiczne, które pozwalają rozwijać samego siebie i jeździć coraz lepiej.

Życzę tego wszystkim riderom, by szukając przygody, znaleźli coś więcej!

Kim jest

Danny MacAskill ?

Tekst: Tomasz Profic

Zdjęcia: Michael Clark - redbull-photofiles.com

„Plany na najbliższą przyszłość? Podróżować w poszukiwaniu nowych ekscytujących miejsc, zwiedzać, kręcić filmy i jeździć na moim rowerze każdego dnia!”

Każdy, kto choć trochę interesuje się tym co się dzieje w świecie MTB zapewne zdążył usłyszeć to nazwisko. Sza-leństwo na jego punkcie zaczęło się od opublikowania krót-kiego filmu promo na portalu YouTube.com i od tamtej pory mówią o nim wszyscy.





Danny MacAskill ma 23 lata i pochodzi z wyspy Skye, drugiej co do wielkości w Szkocji, czwartej w całej Wielkiej Brytanii, aktualnie mieszka w Edynburgu. Jego zabawa z rowerem zaczęła się w 1996 roku i od tamtej pory jego umiejętności osiągnęły najwyższy poziom. Szczerze mówiąc, to niektórzy znani streetowi wymiatacze znani z amerykańskich filmów mogą mu pozazdrościć umiejętności oraz fantazji. O Dannym nie można powiedzieć, że preferuje tylko jeden styl jazdy. Jego sposób na jazdę to połączenie trialu ze streetem, ale także – jak sam twierdzi – posiada kilka rowerów, na których może uprawiać także freeride czy zwykłe cross-country.



Głównym sponsorem Danny'ego jest firma Inspired Bicycles, która zajmuje się głównie produkcją części do trialu. Założona została w 2007 roku przez Dave'a Cleaver'a jako oddział kreatywny amerykańskiej marki Mountain Cycle. To głównie dzięki wsparciu tej marki, Danny mógł porzucić pracę mechanika rowerowego na jazdy na rowerze przez cały dzień ;) Od jakiegoś czasu Danny współpracuje także z firmą Rasolution, która pod swoimi skrzydłami ma takie nazwiska jak bracia Lacondeguy, Trond Hansen czy Martin Söderström. Jak już wspomniałem we wstępie, całe szaleństwo zaczęło się od opublikowania jednego filmu na YouTube. Dziś Mr. MacAskill może poszczycić się całą serią filmów, wystąpił także w teledysku grupy Doves (utwór "Winter Hill"), a ostatnio załapał się także do reklamy Volkswagena Golfa.



Kilka szybkich pytań do Danny'ego:

- Kto jest najważniejszą osobą w Twoim życiu/karierze?

Oczywiście moi rodzice i najbliżsi, głównie za to, że wspierali i zachęcali mnie do jazdy. Także Dave Cleaver z Inspired Bikes ma dla mnie wielkie znaczenie, dlatego, że od czterech lat jego firma wspiera mnie swoim sprzętem (ramy i widelce) oraz Dave Sowerby, który spędził ze mną mnóstwo czasu w zimę filmując moje wyczyny.

- Ulubione miejsce do jazdy?

Moim ulubionym miejscem do jazdy jest raczej Aviemore w Szkocji. Jest to miejsce, w którym jeździłem na samym początku. Znaleźć tam można naprawdę dużo fajnych i zróżnicowanych przeszkód, a jest to bardzo mały obszar. Jazda tam kręci mnie do dziś! Kolejnym fajnym miejscem do jazdy jest także Chamonix.

- Jak reagujesz na nagły przypyływ sławy?

Nigdy nie spodziewałem się, że kiedykolwiek spotkam się z tyloma pozytywnymi reakcjami! Miałem nadzieję, że mój film spodoba się innym riderom, może także kilku ludziom, którzy nie uprawiają trialu, ale kiedy ludzie zaczęli kontaktować się ze mną w sprawie wywiadów dla telewizji to wszystko zrobiło się szalone!





- A więc teraz będziesz mógł spełnić swoje marzenia?

Jednym z moich największych marzeń zawsze było podróżowanie i jeżdżenie na rowerze w ciekawych nowych miejscach. Nigdy nie myślałem, że moje hobby zamieni się w pracę, ale w ciągu ostatnich kilku lat miałem naprawdę wiele niesamowitych okazji, żeby pozwiedzać, poznać nowych ludzi i pojeździć w miejscach, o których nigdy bym nie pomyślał, że można tam jeździć.

- Jak się czujesz jako "gwiazda"?

Zdecydowanie mam teraz swoje pięć minut. Nie mogę przestać dziękować ludziom, którzy skomentowali moje filmy czy skontaktowały się ze mną. Takie pozytywne komentarze zdecydowanie sprawiły, że chcę jeździć jeszcze lepiej i mam tak dużą motywację do jazdy, że aż ciężko mi to określić słowami!

- Na koniec powiedz na czym jeździsz?

Aktualnie jeżdżę na częściach Inspired Bicycles (rama, widelec, pedały, siodło pivotal), piastach Hope Pro II (z tyłu model Trials), obręcze to Atomlab Pimp (tył) i Pimp Light (przód), hamulce Hope v2 Tech 2 200mm z przodu i Magura z tyłu, koła oczywiście 26" na oponach Maxxisa. Pełny spis części można znaleźć na mojej stronie ;)

Ciekawe linki:

- *Danny MacAskill w reklamie VW Golfa*
- *Danny MacAskill promo kwiecień 2009*
- *Oficjalna strona Danny'ego MacAskill'a*



Krystian Flemming


Fotograf

Rozmawiała: Justyna John
Zdjęcia: Krystian Flemming

Nadeszła zima, a wraz z nią nowe pomysły na działy w naszym magazynie. Na pierwszy ogień dopadłam znanego w Zgierzu i lubianego również poza jego granicami fotografa - Krystiana Flemminga. Oto co chciał nam o sobie powiedzieć na dokładkę do rewelacyjnych ujęć...



Hi, my name is Krystian von Flemming, mam za sobą 17 wiosenek. Fotografiją zajmuję się od ponad roku. Generalnie moje życie jest bardzo ciężkie, gdyż co dzień rano ojciec każe mi zaszuwać w polu, lecz dzięki temu udało mi się odłożyć kilka ton ziemniaków, za które mogłem kupić sobie aparat ($\alpha 350$) i jakiś lampion. Teraz odkładam na jakiś zajefajny obiektyw :-D



Lubię też jeździć na lolwelku, gdyż kocham uczucie wolności, gdy szybuję niczym Ikar nad wodami oceanu po czym... (bum), także pływam i ćwiczę na siłowni. Muszę również nadmienić, że mam niepohamowaną przyjemność współpracy z takimi gwiazdami polskiej sceny rowerowej jak Mateusz „Majza” Kostusiak, Artur „Arczi” Miśkiewicz i Marcin „Kowal” Kowalczyk.



...a tak w ogóle to robieniem pikczersów zajęłem się, gdyż jestem nieśmiały w kontaktach damsko-męskich, a to może być jedyna okazja rozebrania kobiety (photoshop, haha)...

Dziękuję! :)

Strona www Krystiana:
krystek22222.digart.pl

young gun **Artur Hryszko**

Rozmawiała: *Justyna John*

Zdjęcia: *Robert Hryszko,*

Michał Chodkowski



Pojawił się na obozie Totalbikes w Wiśle: niziutki, drobniutki, na za dużym rowerze. Zachwycił nie tylko uczestników obozu, ale i samego trenera Wojciecha! Niech nie zmyli was pierwsze wrażenie - w przyszłości zamierza ostro namieszać na polskiej scenie DH. O kim mowa? O 13-letnim Arturze Hryszko – szczęśliwym mieszkańcu Międzybrodzia koło Sanoka.



YOUNG GUNS





YOUNG GUNS



Zdjęcie po prawej: **Michał Chodkowski**
Zdjęcie po lewej: **Robert Hryszko**



- **Justyna John: Jak trafiłeś na obóz Totalbikes?**

Artur Hryszko: Szukałem jakiegoś obozu rowerowego, więc poprosiłem o radę kolegów z forum DH-Zone. Poradzili mi obóz z Totalbikes w Wiśle, ponieważ oni sami miło wspominają te obozy z ubiegłego roku.

- **Jakie masz zainteresowania?**

Interesuje się oczywiście downhillem, ale lubię także w wolnych chwilach pojeździć na desce oraz pograć z kolegami w koszykówkę.

- **Od jakiego czasu jeździsz na rowerze?**

Na rowerze górskim mniej więcej od 11 roku życia, a więc niecałe 2 lata.

- **Jak wygląda Twoja „machina”?**

Mój sprzęt jest określany jako „lekki FR”, tzn. sztywna rama z widelcem o skoku 160mm. Na chwilę obecną jest ciut za duży, ale jakoś sobie na nim radzę.



YOUNG GUNS



- Jakie według Ciebie sprzęt ma znaczenie w zjeździe?

Według mnie sprzęt w downhillu ma znaczenie 50:50w stosunku do umiejętności, bo przecież ze sprzętem z najwyższej półki i zerowymi umiejętnościami nigdzie się nie zajdzie. A jeśli ma się już jakieś umiejętności, to wiadomo - im lepszy (i mniej awaryjny) sprzęt tym lepiej :)

- Co sądzisz o rozpoczęciu przygody z rowerem w młodym wieku?

Rozpoczęcie jazdy bardzo wcześnie jak najbardziej ma sens - w końcu z czasem kształtuje się lepszą technikę jazdy oraz nabiera coraz większego doświadczenia.

- Masz już jakieś plany na przyszłość związane z rowerem?

W sezonie 2010 chciałbym zaliczyć kilka edycji zawodów i imprez rowerowych w ogóle. Fajnie by było też częściej jeździć z kumplami, także w celu poprawienia kondycji. W przyszłości chciałbym być postrzegany jako dobry zawodnik tak w Polsce jak być może i na świecie.

- Czym zajmujesz się na co dzień?

Uczę się w gimnazjum nr 2 im. Królowej Zofii w Sanoku. Jestem w 1 klasie.

- Na zakończenie powiedz nam, co jest dla Ciebie najważniejsze?

Najważniejsze w życiu jest dla mnie życie z Jezusem, a następnie rodzina, rower, przyjaciele no i oczywiście nauka.

- Dzięki za rozmowę!

Bike Park Rokytńice nad Jizerou

Tekst: Karol Wojciechowski

Zdjęcia: Jakub Wittchen - [flickr.com/photos/jakubwittchen](https://www.flickr.com/photos/jakubwittchen)



Wakacje, ciepło, ładna pogoda i dużo chęci na jazdę w górach. Z takim nastawieniem postanowiliśmy wybrać się na jedną z najbliższych położonych miejscówek tuż za polską granicą, a dokładnie do czeskich Rokietnic. Z racji tego, że mieszkamy w Wielkopolsce, jednocześnie jest to dla nas jedna z bliższych dobrze zorganizowanych miejscówek w górach. Wystarczy pokonać przejście graniczne w Jakuszycach i przejechać 15 km po czeskiej stronie by dotrzeć na parking usytuowany przy dolnej stacji kolejki linowej.

Dalej pozostaje już tylko wypakowanie roweru, nabycie karnetu na wyciąg, szybki wjazd i jazda w dół! Do dyspozycji mamy dwie trasy o różnym stopniu trudności i stylu jazdy. Trasa pierwsza to stricte dh. Można podzielić ją na 2 odcinki, górny bardziej płaski i łatwiejszy oraz dolny, stromy i szybki. Górna część trasy prowadzi głównie przez łąki i składa się z zakrętów, raczej profilowanych oraz kilku hopek, krótszych

i dłuższych. Nawierzchnia to trawa z luźnymi kamieniami, troszkę korzeni. Dolna część zaczynająca się w połowie trasy pod wyciągiem jest już dużo bardziej techniczna i wymagająca. Składa się w zasadzie z samych zakrętów, ułożonych w "serpentyne". Znajdziemy tu sporo kamieni, zarówno mniejszych, luźnych jak i większych telewizorów. Dodatkowo teren najezony jest pieńkami po wycince pod wyciąg, a wokół

nich kłębią się już dość wyslizgane korzenie, co przy wilgotnej nawierzchni pozwala nam uzyskać bardzo mocne doznania. Dodatkowo mamy sporo sztucznych przeszkód w postaci kładek, belek w poprzek trasy, hopek oraz małych uskoków. Warto dodać, że wszystkie przeszkody są przejezdne dla mniej wprawnych bikerów, więc nawet początkujący może cieszyć się nieprzerwaną jazdą na całej trasie.





Kolejka linowa kursuje co 30 minut od 9 do 17 z godziną przerwą między 12, a 13, którą można spożytkować na zjedzenie smażonego sera ;) Zdarza się, że gdy jest bardzo dużo chętnych do jazdy, kolejka kursuje nieprzerwanie w godzinach 9-12 i 13-17. Koszt całodziennego karnetu dla osoby dorosłej to 350 KC, karnet 4 godzinny to 200 KC. Przy zakupie karnetu trzeba wypisać oświadczenie o odpowiedzialności. Warto wspomnieć o możliwości wypożyczenia na miejscu roweru (Specialized Big Hit) oraz kasku i ochraniaczy w cenie około 75 zł za cały dzień. Po całym dniu jazdy w błocie istnieje możliwość skorzystania z myjki ciśnieniowej. W razie awarii na miejscu zlokalizowany jest również serwis (drobne regulacje we własnym zakresie oczywiście darmowe, za resztę płaci się wg. cennika).

Ogólnie trudność tras oceniam na 3 w pięciostopniowej skali. Jest to doskonała miejscówka na rozgrzewkę na początku sezonu, albo też na miły tzw. "wyjazd weekendowy". Jazda w tym bike parku sprawia wiele przyjemności i satysfakcji, a w połączeniu z profesjonalną obsługą, przygotowaniem tras oraz przystępnymi cenami sprawia, że chce się tam wracać.

Więcej informacji znajdziecie na stronie bike parku: skiareal-rokytnice.cz



Przekraczając granice.. Jasna, Słowacja

Tekst: **Artur Tokarski, Jakub Jarosz**
Zdjęcia: **Alicja i Katarzyna**

W końcu dopięliśmy swego i zrealizowaliśmy długo planowany trip. Po długim oczekiwaniu na wymienią pogodę oraz dogadaniu się w sprawie terminu wyjazdu, ruszyliśmy w drogę. Podróż choć prosta już na samym początku dała nam znać w postaci gęstej mgły w okolicach Chyżnego. Lasy i łąki parowały zwiastując nam na pierwszy rzut oka niepokodę. Tym razem i natura zrobiła nam miłą niespodziankę. W miarę upływu czasu zaczęliśmy wyjeżdżać z labiryntu mgieł i ukazała nam się piękna panorama słowackich gór. Po około 3h jazdy z Kalwarii Zebrzydowskiej dotarliśmy do Jasnej.





Jasna po mimo swoich niewielkich rozmiarów (miejsowość) jest największym i najbardziej znanym ośrodkiem narciarskim na Słowacji. Zarówno w sezonie letnim jak i zimowym możemy korzystać z wielu atrakcji tego miejsca.

Ze wszystkich atrakcji Jasnej nas głównie interesował szeroko pojęty freeride. Po rozpakowaniu kłopotów udaliśmy się pod wyciąg zostawić trochę euro Słowakom i ruszyć na podbój tras. Bike Park oferuje nam kilka tras o różnym stopniu trudności. Pokróćce postaramy się opisać każdą z tras:

Trasa Czarna - Trasa z mistrzostw Słowacji w downhillu. Biegnie ona pod linią wyciągu krzeselkowego. Jest to trasa dość trudna w porównaniu do polskich warunków zjazdowych. Twórcy linii dali nam możliwość ominięcia trudniejszych przeszkód takich jak gapy, dropy oraz double. Trasa jest naszpikowana dużą ilością kamieni i korzeni, nie brakuje też gładkich odcinków, które dają nam trochę wytchnienia. Linia zjazdowa ma 1850m długości. Trasą przez cały dzień w Jasnej przejechało około pięciu Bilerów, co potwierdza jej trudność.





Trasa Czerwona - Jeleňák. Trasa preferowana przez większość freeriderów, oferująca wiele funu z jazdy. Rozpoczyna się długim trawersem w stylu kanadyjskiego A-line.

Brakuje na nim tylko tych przepięknych hop. Mamy nadzieję na poprawę ze strony naszych sąsiadów. Jadąc tym trawersem wpadamy wprost na nartostradę gdzie rozpoczyna się sekcja hop, wallrideów i dropów. Była to jedna z najczęściej odwiedzanych tras, zarówno przez nas jak i Słowaków, którzy niestety większość przeszkód omijali dając nam tym powód do radości. Przeszkody zarówno typowo do zdrowiania jak i z możliwością zjazdu towarzyszą Nam do końca trasy.

Po całym dniu pięknych wrażeń, z uśmiechem na twarzy spakowaliśmy rowery i dziewczyny do samochodu (cały czas nam towarzyszyły, paniom za cierpliwość dziękujemy) i ruszyliśmy w drogę powrotną.



Trasa Czerwona - Turystyczna. Niestety trasa niemal nieuczęszczana. W ofercie ma piękne widoki i ból nadgarstków. Trasa jest za płaska i za długa, żeby móc myśleć na niej o jakiejś sensowniejszej prędkości. Band praktycznie brakuje, dookoła tylko kamienie i kurz. Jedynym fragmentem, który może przypaść do gustu to kilka pionowych wallride'ów i stolików.



Riderzy: Szymon Jaskóła, Jakub „JaroJJ” Jarosz, Artur „Toca” Tokarski





Enduro Trophy

Bielsko

Tekst: **Adam Tkocz**

Zdjęcia: **przyjaciele Enduro Trophy ;)**

Zwyczajny smętny jesienny tydzień, mój rower i ja powoli już zapadaliśmy w długo oczekiwany sen zimowy. Trzeba przecież kiedyś w końcu dać trochę odpocząć organizmowi przed następnym sezonem, na który przecież jak to zwykle bywa plany są potężne, a nadzieje jeszcze większe. Gdy dotarła do mnie informacja, że w najbliższą niedzielę jest Enduro Trophy, zgodnie z hasłem reklamowym ze strony wiedziałem, że muszę tam być, a z drugiej jakos wybitnie to mi się nie chciało, wyrwany z letargu musiałem zebrać w sobie trochę pozytywnej mobilizacji.

Na szczęście poszło dość łatwo, bo zamiast śnić o nowych cudownych single trackach może po prostu lepiej jechać je, zobaczyć i posmakować wraz z nimi kilka kęsów świeżego błota. Wyjeżdżam już w piątek wieczorem, a razem ze mną Michał „Malauch” oraz mój brat Jan „Jan”. W zasadzie to precyzując, Michał jedzie z nami, w końcu to on prowadzi. Dla mnie to dobrze, bo w jego przepastnym Voyagerze rozkładałem się w drugim rzędzie foteli znanym też jako biznes klasa, dzięki czemu nawet nie zauważam kiedy z Wrocławia dojeżdżamy do Bielska. Ja załapuję się na gościnny nocleg u Harrego, który właśnie to skończył po nocy znakować jeden z Oesów. Także na jutro zostały nam już tylko 3. Cieszy mnie to, że będę mógł sobie przejechać Oesy przed startem, przynajmniej na pewno nie zgubię się na trasie.

Rano większość ekipy znakującej stwierdza, że lepiej rozwieszać strzałki na piechotę. Jestem trochę nie pocieszony, bo rower to rower, a nie tam jakieś tam spacer, ale cóż, ilość śniegu jaką zastaliśmy na górze zdecydowanie przemawia za wariantem pieszym. Czytając posty na forum, z których można było się dowiedzieć, że na trasie jest śnieg myślałem sobie, że to taki pic na wodę fotomontaż, krótko mówiąc 5 mm śniegu w zacienionych miejscach. W Karkonoszach, które są wyższe, przecież śniegu w ogóle nie ma.

Na miejscu widząc przy drodze półmetrowe białe bandy byłem dość mocno zaskoczony, ale tylko trudne warunki pogodowe są przecież godne Enduro Trophy, a jak powszechnie wiadomo wyłącznie w Brennej pogoda wyjątkowo niestety nie dopisała, ale nad tym smutnym akcentem historii ET le-

piej się zbyt długo nie rozwodzić. Tak więc jesteśmy z powrotem na zaśnieżonych górskich szczytach, z plecakami pełnymi strzałek, wieje porywisty wiatr, tworzy potężne zawieje i zamiecie, które zwalają nas z nóg. Ehh, no dobra, niech będzie, tak naprawdę świeciło słońce co nie zmienia faktu, że śnieg był.

Początek każdego oesu zjazdowego to minimum krótka wycieczka w realiach czysto zimowych, odcinek podjazdowy jest natomiast cały zasypany białym zawalidroga, a więc dość szybko zapada decyzja, że ścigać będziemy się tylko w dół. Chociaż rozwieszanie strzałek może się wydawać mało interesujące to ja i tak świetnie się bawiłem tego dnia. Pod wieczór mamy nawet jeszcze czas, żeby zajrzeć na pogaduchy do małej ekipy z forum, która zameldowała się już w pensjonacie niedaleko Bielska.



Na miejscu widząc przy drodze półmetrowe białe bandy byłem dość mocno zaskoczony, ale tylko trudne warunki pogodowe są przecież godne Enduro Trophy, a jak powszechnie wiadomo wyłącznie w Brennej pogoda wyjątkowo niestety nie dopisała, ale nad tym smutnym akcentem historii ET lepiej się zbyt długo nie rozwodzić. Tak więc jesteśmy z powrotem na zaśnieżonych górskich szczytach, z plecakami pełnymi strzałek, wieje porywisty wiatr, tworzy potężne zawieje i zamiecie, które zwalają nas z nóg. Ehh, no dobra, niech będzie, tak naprawdę świeciło słońce co nie zmienia faktu, że śnieg był. Początek każdego oesu zjazdowego to minimum krótka wycieczka w realiach czysto zimowych, odcinek podjazdowy jest natomiast cały zasypany białym zawalidrogą, a więc dość szybko zapada decyzja, że ścigać będziemy się tylko w dół. Chociaż rozwieszanie strzałek może się wydawać mało interesujące to ja i tak świetnie się bawiłem tego dnia. Pod wieczór mamy nawet jeszcze czas, żeby zajrzeć na pogoduchy do małej ekipy z forum, która zameldowała się już w pensjonacie niedaleko Bielska.

Niedziela rano – endurowanie czas zacząć! Gdy dojeżdżamy z Harrym na przełęcz Przegibek na parkingu czekają już dzikie tłumy, które widocznie też przeczytały, że przecież nie może ich tu nie być, no bo nie może i tyle. Są na tym świecie rzeczy, którym ciężko się oprzeć. Do 9-tej zbiera się ekipa 43 osób żądnych: właśnie kropiącego deszczem, nieprzebytego śniegu, leczniczego błota oraz innych atrakcji, które jak zawsze są w podstawowym pakiecie zawodniczym. Jazda na rowerze niestety nie zawsze łapie się w pakiet i nie jest gwarantowana, a więc do startu pierwszego odcinka zjazdowego trzeba doczłapać się pieszo. Wyraz doczłapać należy w tym przypadku traktować dosłownie, bo wczorajsze pokłady śniegu mocno zubożały zamieniając się jednocześnie w ogromną pap-

kę o konsystencji najbliższej wodzie, podczas marszu było więc tylko słycać chlap, człap i chłup. Przewidując wcześniej taki atak sił natury wystawiłem do walki po mojej stronie dwie jednorazowe reklamówki prosto z hipermarketu, które włożone do butów idealnie broniły moje stopy przed napływem wody. Zresztą pogoda czy niepogoda atmosfera rekompensuje wszystko, chociaż z większością osób nie zamieniłem w życiu więcej niż kilka zdań to i tak cieszy mnie to, że przyjechali, wspólne dzielenie pasji endurowania przez cały długi dzień wyzwala tyle pozytywnych emocji, że aż ciężko to opisać. W praktyce wygląda to tak, że nawet w błotnej mazi każdy pcha swój rower z uśmiechem na ustach.

Pierwszy odcinek specjalny to zjazd pełen „agrafek” na stromym zboczu. Początkowa sekcja jest na granicy moich możliwości także przed każdym zakrętem pojawia się szybki dylemat typu dam radę, jestem pro, e tam wcale nieprawda, nie jedź bo się zabijesz. Czasu na rozważania jest za mało, a że zwycięża zdrowy rozsądek to przed porażającą większością zakrętów kulturalnie sobie stoję, obracam rower w nowym kierunku jazdy, kawałek jadę, później znów się zatrzymuję i tak dalej. Wiele osób nie zważa na te piękne wiraże i tnie trasę na skrót, ja jednak wolę moją metodę, może chociaż trochę mnie to zmotywuje by nauczyć się takich nawrotów. Druga część oesu to już ta lepsza partia, przynajmniej z mojego punktu widzenia, bo już nie muszę zsiadać z roweru. Wszystkie zakręty są idealnie pokryte rozjeżdżonym błotem, wystarczy lekko nacisnąć tylny hamulec by wykonać efektowny poślizg – to lubię! Końcówka to już szersza droga leśna, ale miejscami nieźle wyplukana przez wodę, więc nie można się nudzić, na mecie czekają jeszcze w nagrodę małe schody do podejścia i to już będzie wszystko.





Po kilkunastominutowym omówieniu wrażeń ze zjazdu trzeba niestety ruszyć do góry na następny odcinek. Ja z Janem jedziemy, a raczej idziemy do góry trasą oesu, który właśnie się skończył. Zbieramy po drodze wszystkie oznakowania jakie powiesiliśmy poprzedniego dnia, natomiast reszta ekipy napiera trochę na około, ale po bardziej przejezdnej trasie. Na szczyt docieramy mniej więcej w tym samym czasie, tam już zresztą czeka Harry gotowy puszczać nas na następny OS. Tego fragmentu trasy nie znam, więc będzie bardzo ciekawie.

By mieć siły do walki z nieznanym wcinam jednego batona, a zaraz potem pakuję się w początek startowej kolejki, jeszcze dwie minuty, jedna, pięć sekund, moje SPD robią klik-klak i lecimy. Szybko z szerokiej drogi leśnej skręcam na single tracka, gdzie pokłady śniegu i liści czynią trasę jeszcze bardziej niespodziewaną, możliwość niezamierzonego katapultowania się przez kierownicę podnosi adrenalinę na odpowiedni poziom. Ostry zakręt, kamienista sekcja, znowu zakręt - rów wykorzystuje jak bandę, prosta, dokręcam, drzewa w poprzek drogi - uwaga hopa, lecę, hamowanie i znowu pełen gaz.

Teren nie jest aż tak trudny, więc prędkość jest wysoka, nie ma czasu żeby myśleć, jest tylko euforia i radość z każdego następnego metra. Ja po prostu uwielbiam to uczucie, jeszcze jeden zakręt, jeszcze jeden kamień, czemu nie? Siedem minut to nie jest jednak wieczność i koniec oesu nieubłaganie znajduje się tuż przede mną. Szybko dajcie tu następny, nie mogę się doczekać! Ale hola, hola, nie tak prędko, może jeszcze jakieś fotki porobić? Warunki pogodowe niby nie sprzyjają idiot-kamerze, ale spróbować coś uchwycić raczej wypada. Także czas na kilka zdjęć, chwilę rozmowy i kilka głębszych oddechów przed podjazdem na Magurkę, gdzie zaczyna się ostatni odcinek. Na kolejny szczyt wybieramy z Janem, za radą jednego z lokalnych znawców terenu, najkrótszy żółty szlak. Jego stromizna sugeruje wejście piesze, więc tak też robię, Jan jako młody ambitny zawodnik próbuje wszystko wyjechać i w sumie dla mnie to nic dziwnego, że mu się udaje.

Na starcie niestety brak kogoś od pomiaru czasu, trzeba będzie chwilę poczekać, bo Harry dopiero nadciąga z Przegibka. Póki co i tak nie ma tłumów, bo mało kto wybrał najkrótszą drogę, także marzniemy sobie w małym kameralnym towarzystwie, wśród śmiechów i rozgrzewających przytupów. W ramach zabijania czasu zjeżdżam sobie kawałek odcinkiem by zobaczyć jak z ilością śniegu za następnym zakrętem, bo w sobotę na tym fragmencie trasy było go zdecydowanie najwięcej. Teraz nie jest już tak źle, można jechać bez żadnych problemów.

Harry wreszcie nadjeżdża, a z nim nowi zawodnicy, znów pcham się jak najszybciej na start, bo z zimna już mnie zaczyna telepać, trzeba jechać na dół tam jest cieplej. Rozgrzewa mnie już pierwsza kamienista sekcja, ale telepie się dalej, tym razem to jednak wina amortyzacji, która takiemu zagęszczeniu głązów mówi nie, ale co ona ma do gadania, ja tam jestem na tak. Śniegu na tym odcinku zostało jednak więcej niż myślałem po małym rekonesansie, ale dół jest w 100% przejezdny, więc nic tylko się cieszyć. Przyczepność kół jest znikoma, ale to właśnie jej brak gwarantuje wraz z kolejnymi zakrętami niezłą porcję czystej frajdy. Może jeżdżenie poślizgami nie jest najbardziej efektywne ani najszybsze, ale takiej okazji nie mogę sobie zwyczajnie odpuścić.

W pewnym momencie nawet pojawia mi się myśl – szkoda, że nie ma jednak więcej tego śniegu, to by była dopiero jazda! Tylko na krótkim trawersie trzeba zejść z roweru, ale dla mnie to akurat w sam raz, bo muszę ominąć małą grupkę zabłąkanych turystów, chciałem chociaż rzucić okiem na ich zaskoczone twarze, ale znów zaczyna się zjazd, więc to lepsza zabawa.



Śnieg za chwilę niestety lub na szczęście się kończy, sam nie jestem pewien, na którą opcję bym zagłosował, teraz za to mamy ładne błoto, więc w sumie szkoda czasu na zbędne dywagacje. Aktualnie czeka mnie dość długi odcinek szerokiej drogi idealnej na samobójcze prędkości, więc zrzucam z tyłu kilka przełożeń w dół i kiedy psychika mi pozwala to dokręcam. W prostszym terenie ciężko mi zawsze odnaleźć tą bezpieczną maksymalną prędkość, przy której wciąż mogę liczyć na kontrolę nad rowerem, może to już tracę przyczepność? czy może to za kolejne 10 km/h więcej? Zakręty idealnie płaskie, gdzie się podziały jakieś małe rowki, wystarczy jedna mała

nierówność, która zrobi za bandę by uniknąć niepotrzebnego hamowania, nic pusto, trzeba zagotować trochę hydraulikę. Grunt to zachować życie na później, tym bardziej, że single tracki jeszcze nie zginęły i wciąż czekają na końcówce trasy. Już na wąskiej ścieżce spotykam Cichego, który aktualnie spaceruje gdzieś po lesie poza trasą w jej właśnie poszukiwaniu - każdemu zdarza się przegapić zakręt. Dla mnie jego widok to dodatkowa motywacja, tym bardziej, że za chwilę będzie pędził tuż za moim tylnym kołem.

Do mety pozostało mi niewiele, prosta, singiel między drzewami i już jestem. To było coś. Na ostat-

niego zawodnika czekamy na dole dość długo, ale w tym czasie chyba nikt się nie nudzi. Rozmowy i dyskusje trwają w najlepsze. Szkoda tylko, że to już koniec, powoli wszyscy zbierają się do domów, część zostaje jeszcze na ogłoszenie wyników i popas w pobliskiej karczynie, ale i to szybko mija. My też niechętnie ładujemy się do samochodu i ruszamy.

W życiu na pewno ważni są inni ludzie, nasza pasja i radość każdej chwili. Gdzieś w tych nadętych i pustych z pozoru słowach siedzi właśnie Enduro Trophy, impreza na której nie może Cię zabraknąć!





Słó Kosmo Jam

Sobota. Kac. Ból gardła. Brak ochoty na cokolwiek. Za oknem szaro. Leniwie przeglądam forum. Nowe koszulki, jakiś film od RyyS'a, jam w Słomnikach, trzeszcząca korba... Zaraz, wrrróć! Jam w Słomnikach! Już za tydzień? Ło, fajnie. Tylko... jestem chory. Bylebym wyzdrowiał do tej soboty, bylebym wyzdrowiał. Wczytuję się w szczegóły. To nie zawody? Jeszcze lepiej, będzie atmosfera! Tydzień mijął powoli, myślałem tylko o nadchodzącej sobocie. Bez optymizmu. Zimno, deszcz, brak słońca, nie zapowiadało się dobrze. Jednak prognozy mówiły co innego - będzie dobrze!

*Tekst: Adam Paruch
Zdjęcia: Kuba Ślęczka*

Godzina 9:00. Dzwoni budzik. Leniwie zwlekam się z łóżka. Odslaniam rolety. Prawie 10 stopni na plusie, sucho, słonecznie. Na zmiętej twarzy pojawia się uśmiech. Mam, nie będzie mnie dziś w domu, jadę do Słomnik! Wrzucam sprzęt do plecaka, łazienka, śniadanie, lecę. Czekam na szofera (dzięki Baryła!).

Słowo Kosmo Jam

Wyjeżdżamy z miasta, mijamy kolejne tablice aż w końcu tą, na którą czekamy - Słomniki. Skręcamy na targ... No tak, na targ. Parka zastawiony ciężarówkami z meblami, zupełnie jak na Bike FLOOU Jamie. Jest czas, nie spieszy się nam. Zahaczamy Biedronkę, w międzyczasie handlarze się zwijają. Przyjeżdżają kolejne ekipy. Składanie rowerów się kończy, powoli zaczyna się jazda. Ludzie ze Słomnik, Krakowa, Jastrzębia, Kielc, Pszczyny. Tylu ekip chyba nikt się nie spodziewał. Kolejni rowerzyści pojawiają się na elementach parku, zaczynają się sypać sztuczki. Słomniczanie wracający z zakupów zatrzymują się na mniej lub bardziej długie chwile, podziwiając kunszt rowerowych akrobatów.

Panuje bardzo fajny klimat, jazdy bez spiny, żadnych konfliktów w stylu „ej, zdupcaj, teraz ja chcę polatać!”. Temperatura coraz wyższa, nikt nie jeździ w bluzie. Pogoda wymarzona, atmosfera wspaniała, po prostu lepiej być nie mogło. Przynajmniej tak mi się zdawało, ale zawsze się znajdzie coś, co człowieka zaskoczy - nie wiadomo kiedy i nie wiadomo skąd, pojawiła się Mama Gabera z dwoma garami gorącego żurku, paroma bochenkami chleba i plastikową zastawą. Kolejka do zupy jak w przytułku dla bezdomnych, teraz tylko żałuję, że nie pstryknąłem tego „rodzinnego” obiadu.



Sio Kosmo Jam

Ostatnie osoby jeździły jeszcze na parku, cała reszta pałaszowała zupkę. Ale i ci najwytrwalsi nie wytrzymali jazd w roznoszącym się wszędzie zapachu ciepłego posiłku i dali się namówić na szamanko. Po tym zastrzyku energii entuzjazm do śmigania wrócił ze zwiększoną siłą. Jesienny dzień powoli zmierzał ku końcowi, jednak zgodnie z zapowiedziami Gabera ciemność nie była przeszkodą - przyjechały do nas trzy słońca zwane potocznie halogenami. Razem z nimi znalazł się głośnik, z którego po chwili popłynęła muzyka. Jeźdźcy jeździli, flesze błyskały. Lajtowy jam dobiegł końca. Nikt chyba nie ma wątpliwości, że warto było przyjechać. Nawet jeśli nie pojeździć, to żeby podziwiać najlepszych w swoim fachu chłopaków i zasmakować choć trochę klimatu udanego jamu.



W poszukiwaniu straconego czasu

czyli wycieczka w Alpy!

Tekst: **Jędrzek Cegielski**

Zdjęcia: **Jan Tkocz, Adam Tkocz,
Michał Jurewicz, Jędrzek Cegielski**

Trzy miesiące wakacji, z przerwami na naukę, to stanowczo za krótko, aby zaspokoić swój chorobliwy apetyt na jazdę i zapełnić pamięć widokami. Dlatego też 29-go września postanowiliśmy, że jedziemy w Alpy - nie wiemy gdzie, zdecydujemy w drodze, mamy dzień na przygotowanie się i zgromadzenie funduszy...

Zaledwie dwa dni później znajdowaliśmy się już w Alpach, które powitały nas zimnym i wilgotnym powietrzem. Jest ósma rano, po całej nocy w aucie nikt z nas nie jest wyspany, nie tryskamy entuzjazmem, szukamy dobrego parkingu, na którym moglibyśmy się wypakować, złożyć rowery i odpocząć.

Znajdujemy się w Altaussee na wysokości około 750m n.p.m., a przed naszymi oczyma widać wysoką górę. To Loser, nie zaskoczę Was tym, że postanowiliśmy na niego jechać. Podjazd poza tym, że asfaltowy to nudny, do tego stopnia, że w czasie jednego z postojów zasypiam na stojąco i spotykam się z matką ziemią bardzo gwałtownie - śmiechu co niemiara, siniak potężny!

Dojeżdżamy do schroniska Loser Bergrestaurant, które znajduje się na wysokości 1600 metrów. Dopiero tutaj znajduje się to po co przyjechaliśmy - splecione niczym pajęczyna, górskie wąskie ścieżki, ciągnące się kilometrami. Budzi się w nas energia, w te pędy ruszamy je eksplorować, mamy tylko sześć godzin jazdy przed sobą, potem będzie tylko bezkresna ciemność. Jednak w takiej scenerii nie można się spieszyć, fotografujemy praktycznie wszystko co się da.

W międzyczasie mam swój drugi upadek - atakuje mnie zdezorientowanie i brak snu, tym razem poważny - nie wypinam się z roweru i spadam kilka metrów ze skarpy - na szczęście poza odrapaniami i naderwanym paznokciem nic się nie dzieje! To wydarzenie stawia mnie na nogi niczym zapach soli amonowej. Teren coraz mniej przypomina "rowerowy", zaczynają się trudne zjazdy i ścianki, jak na razie wszystko zjeżdżamy bez problemów. Dopiero na tym ostatnim reszta chłopaków skapitulowała, a ja walczyłem, pierwszy przejazd udany, drugi do zdjęcia, już nie, koło wpada w szczelinę i zostaję wykatapultowany z roweru, uderzam całym ciężarem ciała w kamień, pierwsze słowa po złapaniu oddechu to "złamałem żebra?"... Ból spory, w głowie myśl - miałeś uważać i co? W pierwszy dzień koniec jazdy, kurcze nie dobrze, po chwili jednak okazuje się, że mogę trzymać kierownicę i ruszać ręką. Nawet jeśli są połamane moje kosteczki to nie przeszkadza mi to mimo dość silnego bólu, ale to już mały problem :)



Na mapie szukamy szlaku, chcemy przejechać na drugą stronę doliny. Szlak jest na legendzie oznaczony jako turystyczny, a więc coś dla nas. Szybko jednak turystyczny zmienia się w alpinistyczny...

Na naszej trzygodzinnej drodze po Kral-Stöger-Steig nie zabrakło łańcuchów, była nawet jedna drabina, poruszanie się z rowerami po czymś takim to istna katanga, niektóre zejścia pokonywaliśmy na 6 razy, tzn. jeden podawał drugiemu rower itd., aż za 6 podaniem, można było rower z powrotem prowadzić. Piechurzy, którzy nas mijali mieli w stosunku do nas 2x prędkość kosmiczną. Zawsze w takiej chwili mówię sobie ostatni raz... już nigdy więcej itd. Każdy z nas czeka już tylko na chwilę kiedy będzie mógł jechać, zmęczenie coraz bardziej patrzy nam w oczy, widzimy ścieżkę z oddali, która wygląda na przejezdną. Konfrontacja z mapą jasno daje nam do zrozumienia, że to nasza ścieżka prowadząca do auta.

Cel osiągnięty jesteśmy na przełęczy Hochklapfsattel (około 1500m n.p.m.), jest i ścieżka, nie myliliśmy się w ocenie z daleka, jest w pełni przejezdna. Jak się okazuje później, ten single track to gwóźdź dzisiejszego programu. To jest w 100%, a nawet w 200% to po co tu przyjechaliliśmy. Duże progi, naturalne bandy, korzenie wielkości drzew, ciasne zakręty, rock gar-

deny, skalne ścianki, do tego spore nachylenie i długość zjazdu czynią z nami coś niesamowitego - znów zapominamy o zmęczeniu. Nasze rowery zaczynają pachnieć zjazdem (mam na myśli aromatyczny zapach palonych klocków hamulcowych). Ten zjazd naprawdę się ciągnie i ciągnie... Moja lewa ręka (na nią upadłem dzisiaj dwa z trzech razy), zaczyna mnie boleć. Pot ze mnie spływa, w ustach sucho, a w nogach mimo skoku zawieszenia ponad 200mm, płonie pożar.

Dojeżdżamy do końca tej idylli. Przed nami szuter w dół. Jak ja nie lubię w tak bezsensowny sposób tracić wysokości. Czekamy z Michałem jeszcze na braci - Adasia i Jasia, a w międzyczasie kozice górskie urozmaicają nam postój. Niestety nie upolowaliśmy ich naszym aparatem.

Tutaj przypadkowo się rozdzielamy, ja jadę innym szlakiem, chłopcy innym. Robi się coraz ciemniej, to nie jest dobry pomysł, aby urządzić sobie błędzenie po Alpach będąc bez mapy i ciepłego ubrania, a ja jestem tylko w krótkim rękawku. Na szczęście moja słaba orientacja w terenie nie zawodzi mnie i niczym gps wskazuje mi drogę do auta. Tam trwa wielka uczta i przepakowywanie, trzeba stąd uciekać, bo tu nie wolno biwakować. Jedziemy po wodę do lasu i tam zalegamy już do rana. Bracia śpią w namiocie, ja z Michałem w aucie.



Dzień drugi przywitał nas deszczem, po porannym ogarnięciu się zjeżdżamy do miasta w poszukiwaniu sklepu rowerowego - nie będzie z tym problemu, w końcu to rejon typowo nastawiony na ludzi uprawiających wszelkie odmiany kolarstwa. Jesteśmy w Bad Goisern, słynącego z najtrudniejszego maratonu w Europie - Salzkammergut Trophy. To ponad 200 km drogi i 7000m przewyższenia - trasa wiedzie wokół masywu lodowca Dachstein.

Sklep rowerowy jest, prosimy o mapę i mówimy, że szukamy tras freeride oraz enduro. Lokalny rider wie najlepiej gdzie nas skierować, mówi nam o ścieżkach, których nie ma na mapach i pokazuje, gdzie mniej więcej trzeba zjechać z drogi, aby nimi się poruszać. Jak się okazuje idealnie nam doradził. Tego dnia przesiedzieliśmy w aucie do piętnastej na parking. Lało cały czas. Nie zmarnowaliśmy tych chwil, przynajmniej najedliśmy się, totalnie wyluzowaliśmy i posłuchaliśmy dobrej muzyki z ubiegłej epoki.

Oferta edukacyjna tego dnia nie była zbyt obszerna, aczkolwiek treściwa :) 11 kilometrów podjazdu z położonych na wysokości 450m n.p.m. przedmieści Bad Ischl szutrową drogą do schroniska Hoisnradalm (około 1000m n.p.m.), po to tylko, aby z towarzyszeniem trwałego okaleczenia ciała w oczach zjechać na dół. Jest tak mokro, że w swoich kołach spuszczam powietrze do 0,7 bara... Długo wapienne ścianki pokryte wodą i liśćmi czasem przewyższają moją psychikę, zwłaszcza jak słyszę - nie zjedziesz, zabijesz się... nie nie niee!. Ja mam 9 żyć,



jestem jak kot - jadę i zawsze śpię sobie "my immortal" w czasie zjazdu!! Po raz kolejny okazuje się, że strach ma wielkie oczy. Jadę, ogień, nie myślę o ręce, więc nie boli, nie mam na to czasu. Po chwili kolejny raz przekonuje się, że tu trzeba uważać na to co jest za zakrętem. Leśna ścieżyna była wąska, robiła się coraz bardziej stroma, a kamieni przybywało, mijają z lewej strony blok skalny, ścieżkę otwierały skalne wrota, za nimi ostro w dół, tuż przed początkiem najbardziej ciasnej części zakrętu (w prawo) ścieżka kończyła się urwiskiem (z lewej). Dobrze, że człowiek nie widzi swojej miny w takim momencie... Prawdopodobnie była to mina ofiary, która wie, że spotkała swojego oprawcę. Na całe szczęście opony nie puściły, a ja zachowałem zimną krew, zjechałem, cały. Wyszedłem naprzeciw chłopakom i uprzedzałem, że tam trzeba uważać.

Później było jeszcze sporo takich prezentów ze strony ścieżki, przejechaliśmy je w większości, jechaliśmy wolniej, bo szarówka znowu nas zastała w lesie. Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo demotywuje, na szybkim błotnistym zakręcie drut kolczasty do bydła. Każdy z nas miał swój obraz z nieskończenie wielkim ubytkiem skóry...

Znowu asfalt, tym razem przyjemny, jedziemy po starym korycie rzeki, poniżej ogromy przełom potoku, półki skalne i elektrownia wodna, nie wspominając już o bardzo wysokich wodospadach. Tego dnia śpiemy na parking, na którym byliśmy od rana. Jesteśmy przy głównej drodze i okupujemy zamkniętą smażalnię ryb :)

Rano przyjeżdża właściciel i otwiera swoją rybną jadłodajnię. Szybko pakujemy się i przenosimy swoje manele na drugą stronę drogi. Nie ma tam co prawda ławek i dachu, ale są baloty z sianem i kryształicznie czysta górską rzeka :)

Dnia trzeciego chcemy pojechać po długich i szerokich szlakach znajdujących się na graniach. Mapa nie pokazuje jednak drogi do miejsca, w którym chcielibyśmy się znaleźć. Reszta ekipy jest zdeterminowana przez moment i chcą iść na „azymut”, protestuję stanowczo, mam najcięższy rower i najszywniejsze buty, które dnia pierwszego straciły prawie całą podeszwę.

Udaje mi się ich odwieść jednak od tego nikczemnego i co jak co głupiego planu. Jedziemy jak najwyżej szutrówką. Jak na dla mnie jest stroma okrutnie... Nie dopomógłbym opon po wczorajszej jeździe i mam flaki, a nie opony. Słońce piecze niemiłosiernie, plecaki załadowane wodą i jadłem, ciuchów też ciałkiem sporo. Pot zalewa mi oczy, kiedy oddycham aspiruje go do nosa - ała... Kończy się i szuter, a przed nami wyrasta ściana porośnięta ostami, ściana całkowicie wykarczowana. Idąc nią można było śpiewać sobie „ała ała ałłłłłaaaaaaa”, dalej było już trochę lepiej. Podejście ciągnie się i ciągnie. Mijamy sekwencje skalne i komentujemy ich nieprzejezdność w dół. Po kilku godzinach jesteśmy przy schronisku Katrinalm. Posta-

nawiamy wejść na szczyt Feuerkogel (ponad 1400m n.p.m) i zobaczyć panoramę. W oddali widać Dachstein - tutejszy lodowiec. Dnia następnego, będziemy jeździć u jego stóp...

Nieopodal schroniska znajduje się górna stacja kolejki, rodziny z dziećmi przyjeżdżają tu pooglądać widoki, zjeść obiad. Zasłużeni seniorzy czytają na wyeksponowanych do słońca ławkach książki i radują się ciszą i czystym powietrzem. Sami staramy się złapać każdy możliwy promyk słońca, dobrze wiemy, że jak wrócimy do kraju będzie szaruga i zimno. Po dłuższym odpoczynku próbujemy jednak wbić się na grań - nic z tego, hardcore zatrzymuje nas.

Wracamy... Znowu mamy to co kochamy najbardziej. Zjazd! Do auta będziemy od połowy wracali zupełnie inną drogą, cały czas górskim singlem. Trasa nie od parady - ścieram na niej doszczętnie klocki hamulcowe, wracam trąc metal o metal. Na tym zjeździe kręcimy krótki filmik, każdy z nas bawi się przednio i to jest właśnie to co każdemu pasuje :) Robimy najlepszą sesję foto i znowu mamy sucho w ustach, a pot z nas spływa. Tak długich ścieżek w naszym kraju brakuje. W Aplach piękne jest też to, że są duże i gdzie się nie pojedzie nie ma takiego natłoku turystów jak u nas - trzeba uważać wyłącznie na siebie. Trasa cały czas nas zaskakuje, musimy się zatrzymać, Janek

ma czarne tarcze – spalone. Każdy rower pachnie bardzo intensywnie, a my musimy udać się chyba do chirurga plastycznego, aby zszyć nam te usta, bo się rozerwały od zbyt szerokich uśmiechów.

Zaciski hamulców gorące są na tyle, że czuć jak grzeją nasze łody, nie daj Boże dotknąć ich teraz. Poparzenie 2-go stopnia to minimum... Niestety i ten zjazd ma swój koniec, jesteśmy z powrotem w mieście - szybkie przepakowanie, mycie, posilenie i jedziemy pod Dachstein.

W trakcie jazdy z ust kierowcy naszego wesołego bolidu padają słowa „patrzcie się na drogę, bo ja patrzę na góry” mówi Michał, tak też było... Każdy z przyklejoną twarzą do szyby szukał jak najlepszej widoczności. Do tego dzień przed pełnią i bezchmurne niebo! Wierzyć się na chce, że szkoła się już zaczęła...

Noc spędzamy na parkingu w Gosau Hintertal tuż pod jeziorem polodowcowym Vorderer Gosausee. Nocne wycieczki i zdjęcia, zapadną nam w pamięć, a na tym parkingu spędzamy dwie noce. Rano ruszamy do jeziora, które znajduje się bliżej lodowca - rano znaczy się około 12 ;) Musimy jechać dookoła, bo najbliższą drogą nie wolno poruszać się rowerem. Większość dnia jeździmy szerokimi szutrówkami, za to widoki są powalające.




Mapy nie są zbyt dokładne, błądzimy i sporo nadrabiamy, w końcu około 16-ej odnajdujemy nasz szlak 613 z Jhth. Landneram (1153m n.p.m.), który prowadzi na przełęcz pod szczytem Beerwurzkogel (2006m n.p.m.). Zjazd z tej przełęczy miał być punktem przewodnim dzisiejszej wycieczki. Przed nami kolejne wielkie noszenie roweru... Znowu szlak turystyczny okazuje się prawie alpinistycznym, tuż przed przełęczą w kominach jest na tyle wąsko, że musimy rozbierać rowery i osobno wnosić koła oraz ramy. Najszybciej z nas poruszał się Janek, który miał najmniejszy i najlżejszy rower. Ja poruszam się ze swoim smokiem jak mucha w smole.

Nadchodzący mrok za nic nie motywuje mnie do działania. Michał jest za tym, aby przeczekać do rana na półce skalnej, a ja mam na sobie krótki rękawek i ze sobą tylko folię NRC. Nie powiem, aby ten pomysł mi się uśmiechał. W krytycznym miejscu czeka na nas Adaś z pomocą. Mówi jak mamy przejść to coś... Komin skalny, na szczęście nie jest przewieszony. Dawno nie używałem rąk w takim wymiarze, ostatni raz zdarzyło mi się to na skałach w czasie wspinaczki. Na szczęście dowiadujemy się od Jana, który wrócił, że to już koniec takich podejść, i że dalej jest light do przełęczy tylko 10-15 minut drogi. Morale rosną. Nie widać już ani jednego promienia słońca. Niebo tonie w różu, pierwsze gwiazdy oznajmiają rychłe nadejście mroku. Zza skał wyłania się on - wielki i świecący księżyc. Nadaje tej chwili niepowtarzalnego wyrazu...

Mimo że w górach spędziliśmy wiele lat, mieszkając w nich nigdy nie przeżyliśmy takiej chwili. Mamy ze sobą tylko jedną lampkę i telefon z diodą. Musimy wytracić sporo wysokości, 800 metrów do najbliższej szutrówki - jesteśmy zszokowani, bo z tej strony da się jechać. I zjeżdżamy w nocy z ponad 1900 metrów w dół... Ekstaza, niezapomniane przeżycie, teraz widzimy jak wielkie są to góry, jak niesamowicie wspaniała jest natura, która je stworzyła, czuć niesamowitą radość z tego, że mogą przebywać w ich otoczeniu w takiej scenerii. Zjazd nam trochę jednak zajmuje, około 23-ej docieramy do jeziora Hinterer Gosausee (1164m n.p.m.), gdzie kończy się niezapomniany singiel i zaczyna gładka jak stół droga szutrowa. Wielkie "wow!" nie ma końca. Zdjęcia nocne wyglądają jak te z dnia. Tak naprawdę to przy tym jeziorze kończy się nasza przygoda. Znowu chcemy, aby ta chwila nie miała końca, czuje się jak w jakiejś wspaniałej zamkniętej przestrzeni, której nie chce opuszczać!



A photograph taken from the passenger side of a boat's cockpit, looking towards the helm. A person with long, curly brown hair is seated at the helm, wearing a dark long-sleeved shirt and grey gloves, with their hands on the steering wheel. The dashboard is grey with a wood-grain panel around the stereo and climate controls. A GPS device is mounted on the dashboard. The interior has a light-colored headliner with a yellow warning sticker. The text is overlaid in the center of the image.

Ojczyzna wita nas obowiązkami i brzydką pogodą. Podziękowania dla naszych
Pań z dziekanatu za wyrozumiałość. Jesteśmy bardzo niepokładanymi studentami :)
Więcej zdjęć można znaleźć *pod tym linkiem*.

Joy Ride Days 2009



Co roku Szymek "Siara" Syrzystie organizuje zakończenie sezonu rowerowego i rozpoczęcie narciarskiego. W bieżącym roku nie mogło być inaczej...

Tekst: *Justyna John*

Zdjęcia: *Kamil Knapiński - skuter17.digart.pl,*
Antares Gryczan



Tegoroczna edycja Joy Ride Night Downhill zaplanowana została na 6 i 7 listopada na zakopiańskiej Harendzie. Tydzień wcześniej ruszyły internetowe zapisy, co pozwoliło zmniejszyć koszty wpisowego. Pojawiła się też słynna już zapowiedź przygotowana przez Radka Drozdowicza, w którym światowe sławy DH pieją peany na temat imprezy oraz zachęcają "musisz tam być!". Ogólnie niezły żart ze strony organizatora, niestety nie przez wszystkich zrozumiany (patrz fora dla rowerowych teoretyków). Pogoda zapowiada się ciekawie – brak śniegu, lekka mżawka w sobotę, czyli złota polska jesień.

Silną ekipą kwaterujemy się blisko Ampstronga, co by było niedaleko do klubu. Przymas, Andrzejek, Żwirek, my z Olkiem i Frodo. Na dokładkę Antares z całą gromadką. No i Olek ma urodziny w dniu zawodów - to nie może się nie udać.

Wracając do głównego tematu, sama Harenda jest całkiem ładna - bandy widoczne już z wyciągu (który notabene działa bardzo sprawnie), reszta trasy w lesie. Spodziewam się czegoś podobnego do zeszłorocznej edycji, a więc raczej łatwe odcinki. Gdzieś tam profil lub zakręt, troszkę stromo, ale bez przesady. I nie myślę się - część trasy pokrywa się z dobrze mi znaną. Jednak chłopcy wprowadzili innowacje: przede wszystkim step-up'y które w fazie ewolucji trasy oraz postępów wskazujących na coraz bliższy finał - zanikają. Efektem tego jest fakt, że w piątek walczę o wjazd na owe coś, w finale natomiast mam tyczki ustawione tak, że zgrabnie omijam element uphill'u. Na trasie mamy też: niewykoszony trawnik, przez co zielsko po rozmoknięciu zapycha kółka, wypad z lasu w formie hopy, który w nocy jest nieoświetlony (jednakże na finały będzie tam światełko!) i sporego drewniaka tuż przy mecie.

Trenujemy cały dzień - warunki bardzo przyjemne, także w głupom i odkryciom nie ma końca. Wiecie, że w Treku Session 88 DH oś tylnej piasty jest skonstruowana tak precyzyjnie, że: mały brud powoduje niemożność wyjęcia koła nawet przy pomocy młotka? smar stały uniemożliwia włożenie osi co udaje się dopiero przy smarze płynnym?

Przed zakupem za kupę kasy zastanówcie się czy jesteście przygotowani na takie niespodzianki - my nie byliśmy. Serwis piasty odbył się już po całej imprezie - w Kazorze, gdzie właściciel owego sprzętu o mało co nie spadł z krzesła po dowiedzeniu się prawdy ;)

Wraz z wieczorem przychodzi czas na beforek, czyli koncert rockowego zespołu Cool Kids Of Death. Bardzo przyjemna muzyka do słuchania w autku psuje się w klubie ze względu na zbyt wielkie basy i niezbyt trafne ustawienie wokalu względem instrumentów na tak mały lokal. Ufam, że to nie ich wina - w każdym razie było OK. Jeszcze w piątek wszyscy poważni, w ubraniach codziennych bez zbytnich ekscesów - poczekajmy do soboty.





Ta przynosi nam mżawkę, która powoduje namoknięcie stoku i wieceelką ciapę. Na szczęście po całym sezonie jesteśmy już zahartowani i błota się nie boimy! Zmieniamy minionki na mady, kiedy to pojawia się redakta Rudy. No no, będzie komentarz jak ta lala. W każdym razie już niedługo eliminacje i wypadałoby się rozjeździć, co też czynimy. Okazuje się, że jest niesamowita ślizgawica. Funkcjonują jeszcze step-up'y, ale chyba budowniczy zaczyna się zastanawiać nad ich sensem. Zmniejsza je... i zmniejsza, a także puszcza zjazd bokiem. Szkoda tylko niewykoszonej polany - wyrwamy oponami kępy traw wraz z ziemią.

Nadchodzi czas na eliminacje - jest jaśniutko, słońeczko jakby chce wyjść zza chmur. Najpierw startują kadeci, a po nich kobiety. Mam nadzieję, że Hania zwana Tofikkiem pojedzie wraz ze mną. Tak więc lecę. Na dzień dobry leżę w błoku w miejscu, którego byłam chyba najbardziej pewna, że będzie ok. Podnoszę się, jadę dalej, mijam zakręty. Materac na drzewie spowalnia mnie na tyle, że złażę z roweru bo po 1 jest pod górkę, a po 2 będzie szybciej. Dalej uphill - przy pierwszym zakopuję się w ciapie, przy drugim jakoś sobie radzę, a trzeci pokonuję przy (nie)wielkiej pomocy wiernych fanów pod okiem czujnego Siary. Zezwolił na machloje, a jak ;) Drodzy państwo, żeby nie było tak kolorowo, że już mam z górki aż do końca - po pokonaniu zakręto-ścianki czuję dziwny opór. Sprawa wyjaśniła się po rzucie okiem na tylne koło. Przestrzeń między wahaczem, a oponą całkowicie się zapchała uniemożliwiając kręcenie koła. Tak więc mała przerwa nie zaszkodzi - stoję i wydłubuję pozlepiane błociskiem okazy lokalnej flory. Mija mnie jakiś junior, co rozwiewa również nadzieje na start Hani. Nie przejmując się czasem spokojnie oczyszczam rowerek i pędzę na dół. Wjeżdżam na metę z czasem poniżej granicy obciachu, co jak się później okazuje nie jest najgorszym czasem zawodów. Też mi pocieszenie... Czas na myjkę, ploty z Rudym, pizzę i czekamy na finał.



Finał nadchodzi wielkimi krokami wraz z chłodem. Lekko zmoknięta czuję zimno dwa razy bardziej, więc po dotarciu na górę proszę pana od pomiaru czasu o możliwość startu od razu. Pofarciło się, nie muszę czekać na przejazd kadetów (aż 3!). Tempem piknikowym toczę się na dół, widzę zmiany na trasie - tyczki poprzestawiane, ale wszystko co powinno być oświetlone - takie było. Nie ma żadnych problemów technicznych. Docieram w spokoju na dół, gdzie Rudy oznajmia wszem i wobec czas. No to jest OK. Pozostałe kategorie prezentują się liczniej, więc trwa walka. Mając cichą nadzieję, że Adolf z powodu braku fulla nie przestawi się na sztywniaka, a tym samym pojedzie kaszaniasto w hardtailach – rozczarowuje mnie. Dowala solenizantowi Olkowi kończącemu w dniu zawodów 24 lata - kilka sekund. Generalnie wyniki wypadły następująco:

KADET:

1. Gładysz Kamil
2. Kasprzyk Konrad
3. Jabłoński Szymek

KOBIETY:

1. patrz autorka tekstu ;)

ELITA:

1. Kucbora Maciek
2. Kosmowski 'Chuzio' Krzysztof
3. Gładczan Józek

HOBBY FULL:

1. Piekara Robert
2. Wicher 'Mongoł' Jakub
3. Panek Artur

MASTERS (bardzo liczna kategoria):

1. Domaradzki Michał
2. Sieniawski Michał

JUNIOR:

1. Wszolek Tomek
2. Raoof Aram
3. Posmyk 'Żwirek' Hubert

HOBBYHARDTAIL:

1. Porochniak 'Adolf' Konrad
2. Wieczorkiewicz Olek
3. Stanowski Bartek



Zdjęcie po lewej: **Kamil Knapiński**
Zdjęcie po prawej: **Antares Gryczan**

Po wyczerpujących zawodach czas na party! Na to w zasadzie wszyscy czekali. Wracamy do domku, ogarniamy się troszkę i świętujemy! W Przymasowym pokoju odśpiewujemy sto lat, wręczamy prezenty i głoimy się nad strojami na afterek. Tu koszula, tam cekinki i okulary. Tylko co z Rudym, który stał się naszym nowym współlokatorem? Po krótkiej rozminie decydujemy się na takowe wcielenia:

Olek – paker w czapie solenizanta

Tina - pusta dresiara z cycem na wierzchu

Przymas - prywaciarz początku lat 90-yh (ahh ten wąs!)

Andrzejek - ksiądz promujący naturalną metodę 'dziurawy unimil'

Żwirek - satynowy książę lumpeksów!

Frodo - w zasadzie Alvaro Frodulla, a więc gorący Hiszpan

Rudy - pseudo punk z Unimilem na kitce.

Zaczynamy spektakl !!

...ale najpierw papu w restauracji gdzie natykamy się na Wujcia Michała i jego świtę.



Zdjęcie po prawej: **Kamil Knapieński**
Pozostałe zdjęcia: **Antares Gryczan**





Konsumujący nieopodal ludzie dziwnie nam się przyglądają... Na szczęście rozdzwania się telefon do Rudogo - wszyscy na nas czekają, bo bez redakty nie ma rozdania nagród. Więc spokojnie, nigdzie nam się nie spieszy – to my tu rządzymy. Spacerkiem docieramy do klubu, rozplaszczamy się i już zaczynamy robić sensację. Ludziska wypytują, podpatrują, oceniają. To co, może za rok „wiesze przebieżanka party” jako nowa tradycja w ramach Joy Ride Days? Przemysławcie sprawę.

Obchód klubu pozwala mi stwierdzić, że sporo osób startujących olało sprawę, za to pojawiło się wiele nowych twarzy, chyba nie do końca związanych z tematem. Dziś na deser ma być Góral! Zobaczymy jak to będzie, najpierw rozdanie. Miały być zawody o pietruchę i były! Wystrojona jak szczur na otwarcie kanału, z okularkami lustreczkami mojej damskiej połówki, czyli koszykary Grubego (buzi paszczaku) ruszam na podbój sceny. Siarosław wpycha mi w zęby warzywo korzeniowe, w łapkę dyplomik, a ja uskuteczniłam wygibasy do aparatów. Po mnie czas na Posmyki (w moich, Grubego OKULARACH!). Następnie zjawia się Olek. Rudy składa życzenia? A skąd! Wyczajają koszulkę Superligi i starym zwyczajem poza głośnym „sto lat” słycać „pokaż d...”. I Ollie pokazuje, a jak! Na deser dekorują Kuciaborę. Wtem wyskakuje ksiądz Andrzej błogosławiąc naszego Macieja i innych rajderów oraz wspominając nie wiedzieć czemu o produktach reklamowanych przez Pana Kolbiego.

W każdym razie czas na balety w dzikich rytmach (Ewa znów pieje na temat niejakiego Łukasza O.). Czujemy się obie osaczone przez Posmyka. Skąd u Ciebie dziecko taki talent taneczny? Jednakże przy Góralu zostają najwytrwalsi... Specyficzna muzyka, którą Stanach zgrabnie ujmuje jako „Czuję się jakby mnie stara waliła garnkiem po łbie”. Co kraj to obyczaj. Mały spacer i... Do zobaczenia za rok!



Żywiec Bike Cup

podsumowanie sezonu

Tekst: **Justyna John**

Zdjęcia: **Karolina Krężel** - theoldpricks.com

Trzy edycje zawodów, trzy różne miejscówki – bardzo dobry pomysł, ale jak z wykonaniem? Całą imprezą zajmuje się Grzesiek Grochal. W zeszłym roku zdecydował się zorganizować "pilotażowe" zawody w Kluszkowcach. Trasa była krótka, ale wymagająca. Na sezon 2009 postawił sobie za zadanie aż 3 edycje zawodów pod hasłem "Żywiec Bike Cup" ściśle powiązane z obozem rowerowym Bike Camp. Stąd też robocza nazwa imprezy używana przez zawodników: Bike Camp Cup :) Zawody kolejno odbywały się w Kluszkowcach, Jurgowie oraz Myślenicach. Patrząc na mapę wszystkie miejscówki są dość blisko siebie co pozwala wnioskować, że chłopaki budowniczy są lokalesami i znają doskonale wybrane miejsca.

Runda 1 - Kluszkowce

Mała miejscowość o niesamowitym klimacie: przyjaźni ludzie, piękne widoki, rewelacyjna pizza i ogólnie swojskie klimaty. Bezproblemowo można znaleźć tanią kwaterę blisko wyciągu, w której panują bardzo dobre warunki, co przy dzisiejszym kryzysie i lenistwie jest bardzo ważne. Wyciąg w miarę tani, nie jakiś specjalnie wolny, z obsługą której chuch może zabijać nawet najbardziej odpornych na aromaty przetrawionych trunków. Krótki bo krótki, ale góra też nie jest specjalnie wysoka. A sama trasa? No cóż... Rok temu poprowadzona była inną stroną stoku, bardziej wymagająca, chociaż krótsza. Tegoroczna edycja pełna była elementów wręcz banalnych dla zaprawionych w bojach zjazdowców. Polanki rodem z cross country i dużo kręcenia, ale też wybudowane bandy, całkiem niezłe drewniane wybicie mające lądowanie na stromiźnie i... błoto! To ono dodało smaczku całym zawodom powodując, że z trasy którą na naszych oczach przejechał kolarz na topowym sprzęcie XC nie mając z nią żadnego problemu zrobiła się całkiem ciekawa „treningówka” - nie za trudna, z podeschłą już ciapą lepiącą się do wszystkiego, ale kondycyjnie przygotowująca do następnych bardziej wymagających zawodów. Zwycięzcy poszczególnych kategorii to:

HOBBY JUNIOR

1. Łomnicki Marcin
2. Suchoń Antoni
3. Święch Jakub

HOBBY HARDTAIL

1. Foks Wojciech
2. Łukasik Sławomir
3. Wieczorkiewicz Aleksander

HOBBY FULL

1. Cecot Rafał
2. Sęk Arkadiusz
3. Porochniak Konrad

KOBIETY

1. Sojka Anna
2. Górnicka Katarzyna
3. John Justyna

MASTERS

1. Ziemecki Marcin
2. Tasz Szymon
3. Czarnowski Grzegorz

JUNIOR

1. Posmyk Hubert
2. Tarkowski Marcin
3. Bogunia Jakub

ELITA

1. Śliwa Michał
2. Zieliński Grzegorz
3. Cienciąła Jacek



Runda 2 - Jurgów

Tu niestety nie mieliśmy swoich bezpośrednich wysłanników, więc przytoczę zasłyszane opinie. Również niezbyt wielka miejscowość znajdująca się niedaleko Zakopanego, z tanim żarciem i niezłymi kwaterami. Widoki z góry niezłe, jednak nie tak malownicze jak w Kluszkowcach (a podobno góra jest góra ;). Rewelacyjne przygotowana trasa, praktycznie od zera przez między innymi Szymka Tasza. Wszystko bierze swój początek ze sporej drewnianej wyskoczni. Dalej bandy, ziemne hopy jak i drewniane przeszkadzacze. Całą imprezę urozmaicił lejący deszcz i wszędożyłskie błoto. Gliniaste podłoże pozalepiało opony i niektórzy zawodnicy załamani zrezygnowali ze startu. Chłopcy odwalili kawał dobrej roboty, ale przede wszystkim należy wspomnieć o pomocy Stacji i Zarządu Jurgowa: postanowili kontynuować pracę nad trasami przez co na wiosnę 2010 roku spodziewamy się nowych elementów i być może całkiem nowych tras. Czekamy z niecierpliwością, tymczasem najlepsi wśród odważnych to:

HOBBY JUNIOR + JUNIOR

1. Gzela Michał
2. Hady Jan
3. Śliwiński Łukasz

HOBBY HARDTAIL

1. Łukasik Sławomir
2. Foks Wojciech
3. Piekara Maciej

HOBBY FULL

1. Sęk Arkadiusz
2. Wicher Jakub
3. Bożek Piotr

KOBIETY

1. Sojka Anna
2. Stamm Agata

MASTERS

1. Ziemecki Marcin
2. Tasz Szymon
3. Dudek Radosław

ELITA

1. Cienciala Jacek
2. Zieliński Grzegorz
3. Piłaszewicz Arkadiusz



Runda 3 - Myślenice

Chyba najbardziej oczekiwana edycja na ukochanej trasie wielu rajderów. Niestety - tu się zawiedliśmy. Bynajmniej nie na organizatorach, a na nadleśnictwie. Chłopakom nie udało się zdobyć pozwolenia na wjazd w żadnym momencie do lasu. W ten sposób otrzymaliśmy kombinację początku pierwszej edycji Pucharu Polski, z przejazdem przez polanę, bandami i hopami pod wyciągiem oraz zakończeniem na parkingu. Świeżo zbudowane profile podczas mżawki nasiąkły tak, że częściowo utraciły swoją pierwotną formę. Pojawiły się koleiny utrudniające przejazd. Wielki plus za skoszenie trawy przez co nawet w połączeniu z ciapą nie dochodziło do całkowitego zapychania wszelkiej wolnej przestrzeni w spręcie (co miało miejsce na tegorocznym Joy Ride Days). No cóż, budowniczy wycisnęli z trasy wszystko, co się dało - nie tego oczekiwaliśmy, ale na warunki jakie dostali i tak wyszło całkiem ładnie. Niestety nie dopisali sami zawodnicy, a rezultaty poszczególnych kategorii kształtują się następująco:

HOBBY JUNIOR + JUNIOR

1. Gzela Michał
2. Mucha Michał
3. Czopek Damian

HOBBY HARDTAIL

1. Łukasik Sławomir
2. Wieczorkiewicz Aleksander
3. Foks Wojciech

HOBBY FULL

1. Wicher Jakub
2. Sęk Arkadiusz
3. Maślak Marcin

KOBIETY

1. Sojka Anna
2. John Justyna


MASTERS

1. Kosiński Piotr
2. Dudek Radosław
3. Sieniawski Michał

ELITA

1. Rożdżyński Jonasz
2. Cienciąła Jacek
3. Kucbora Maciej





Pozostaje nam
czekać na dalszy rozwój
wydarzeń oraz następ-
ne zawody pod szyldem
„Żywiec Bike Cup” już w
sezonie 2010!

Oficjalna strona zawodów:
bike-event.pl

Tommy i Szczęki w Libanie

Tekst: Bartosz „Szczęki” Krzysztoń
Zdjęcia: Tomasz Rakoczy - tommysuperstar.com





Tommy i ja (Szczęki) wybraliśmy się na małą wycieczkę do krakowskiego kamieniołomu Liban, po którym jeszcze nigdy nikt nie jeździł na rowerze.

Miejsce, które odwiedziliśmy jest bardzo tajemnicze i trochę straszne dodajmy do tego jeszcze bardzo gęstą mgłę, która nas otaczała - miejsce naprawdę zaskoczyło nas niesamowitym klimatem. Efekty naszej wyprawy możecie zobaczyć na znakomitych zdjęciach zrobionych przez Tomka. Zapraszamy!

Kamieniołom Liban wziął swoją nazwę od Bernarda Libana - współzałożyciela spółki „Liban & Ehrenpreis”, która to w 1873 roku założyła w tym miejscu wapiennik. W czasie II Wojny Światowej (w latach 1942-44) na terenie kamieniołomu działał ciężki obóz pracy dla Polaków. Po wojnie teren kamieniołomu był eksploatowany przemysłowo w różnoraki sposób aż do lat 90-tych ubiegłego wieku.



Szczęki aka Jozin z Bazin :)



W 1993 roku kamieniołom odwiedził sam Steven Spielberg, który ujęty urokiem tego miejsca wybrał je do stworzenia scenografii Obozu Koncentracyjnego w Płaszowie, mimo iż faktycznie mieścił się on na rozległych polach ponad kamieniołomem. Część wybudowanej za ponad pół miliona dolarów dekoracji do „Listy Schindlera” w postaci ogrodzeń z drutu kolczastego i drogi ułożonej z macew nie została rozebrana i wciąż można ją tu oglądać...





Jaws-Freeride.com

Więcej zdjęć znajdziecie na stronach:

- jaws-freeride.com
- szczeki.pinkbike.com
- tommysuperstar.com
- tommysuperstar.pinkbike.com

Wysokość: 2800m
Przewyższenie: 450m

Trasy czynne: czerwiec - wrzesień
Trasa o dużym stopniu trudności, prowadzi częściowo po niebieskiej trasie zjazdowej, w części po skraju lasu. Start znajduje się w wieży startowej obok górnej stacji kolejki linowej Svatý Petr - Pláň.

1-dniowy bike pass - 300 koron czeskich. Wrażenia bezcenne!

Patronem trasy jest Michal Maroši.

Szpindlerowy Mlýn

Tekst: 43RIDE Zdjęcia: Jakub Wittchen - flickr.com/photos/jakubwittchen





Wielki Rozwój Sportu





Smutna historia Goćław Dirtu

Tekst i zdjęcia: **Bartosz Podkowiński**



Tak umarła legenda... Goćław Dirt zniknął z mapy najlepszych miejscówek Warszawy.

Na miejscu najpopularniejszego spotu dirtowego w Warszawie rozpoczęła się budowa najnowocześniejszego osiedla mieszkaniowego pod mało trafioną nazwą „Saska Kępa” (nazwa pochodzi od dzielnicy, która znajduje się tuż obok, ale osiedle znajduje się w innej – przyp. red.).

Od dawna chodziły głosy po całym Goćławiu, że hopy będą zniszczone, lecz pod osłoną owych plotek dirt stał nietknięty przez ponad 2 lata. Dopiero rok temu doszły do nas informacje o tym, że w końcu ma tam powstać osiedle mieszkaniowe. Poprzednie obiecane inwestycje nie były realizowane, więc nie zawracaliśmy sobie tym głowy, jednak latem 2009 roku w okolicy zaczęły pojawiać się ciężkie maszyny oraz materiały





budowlane. W tym momencie zdaliśmy sobie sprawę z wiarygodności ostatniej wiadomości. Wiedzieliśmy, że nadszedł czas na naszą miejscówkę, więc staraliśmy się jeździć tam do końca, aż do wkroczenia koparek na teren naszego toru.

Od momentu, gdy plotka zaczęła się sprawdzać każdy z nas zastanawiał się ile mamy jeszcze czasu. Stało się to deszczowego dnia - 22.10.2009 roku. Po pięciu latach teren dirtu został ogrodzony wysokim 2-metrowym płotem przez największego potentata branży budowlanej, który z naszego dirtu ma zamiar zrobić najnowocześniejsze oraz największe osiedle w Warszawie.

Osiedle „Saska Kępa” zostanie zbudowane na 6,5 hektarowej działce w kształcie trójkąta, na której powstanie łącznie 1585 mieszkań w 11 budynkach o wysokości od VII - XIV kondygnacji. Inwestycja będzie projektem trzy etapowym: w I etapie powstanie w sumie 470 mieszkań, w II etapie 672 mieszkania, natomiast III etap przewidziany jest na 443 mieszkania. Średnia powierzchnia planowanych mieszkań to 61,3 m². Wartość całej inwestycji szacowana według obecnych cen sprzedaży to ponad 700 milionów złotych, natomiast wartość pierwszego etapu to około 150 milionów złotych. Oddanie I etapu osiedla planowane jest na drugą połowę 2011 roku.

W dzisiejszych czasach liczą się pieniądze, liczby, statystyki. Nikogo nie obchodzi dzieciaki skaczące na rowerach, które zamiast ćpać czy pić wódkę pod monopolowym wołają oddać się swojej pasji i pójść „pośmigać” z kolegami na rowerze. Firmy deweloperskie chyba nie zdają sobie sprawy z tego, że oprócz niszczenia nam miejsca do jazdy, których i tak w Warszawie jest niewiele, niszczą również marzenia młodych ludzi, ponieważ bez miejsc na trenowanie nie zostanie się „prosem” i nie zawładnie się sceną rowerową ;)

O naszym dircie mówiono różne rzeczy, np. zawsze jest tam mokro i ciągle wieje, a jak nie wieje i nie pada to jest za gorąco. Ludzie czepiali się o zbyt pionowe wybicia i o brak wystarczającej prędkości na środkową sekcję dubli oraz najbardziej na prawo wysuniętą sekcję trzech stołów. W karierze dirtu zdarzały się również komplementy jak np. wszechstronność naszych hop, tu każdy znalazł coś dla siebie. Zaczynając od prawej strony początkujący mieli do dyspozycji sekcje trzech stołów o bardzo technicznych wybiciach. Linia stołów była zakończona profilem, który skręcał w lewo między drzewami. Po środku naszej miejscówki znajdowała się sekcja trzech dubli. Mówiono, że były naprawdę wymagające i nie jeden zawodowiec wylądował tam na „disastera”. Obok znajdował się step-up z miękką gliną na lądowaniu, by każdy bez narażania się na większe szkody zdrowotne mógł szlifować swoje nowe triki. Natomiast po lewej stronie spośród bujnej roślinności wyłaniała się największa sekcja naszego dirtu. Składała się ona z drewnianego zjazdu – tzw. mównicy, w późniejszym czasie została spalona i odbudowana na nowo ze żwiru i gruzu. Gdy pokonaliśmy już mównicę czekał na nas dubel, potem stolik, a na samym końcu hip, z którego można było skakać w prawo lub w lewo. Ta sekcja zawsze miała największy postrach wśród riderów odwiedzających nasz Goćław.





Nasz spot nie ma zbyt szczęśliwej historii, od samego powstania pierwszej hopy ekipa borykała się z różnymi problemami. Gdy dirt zaczął nabierać kształtu pękły rury wodociągowe, więc konserwatorzy musieli zniszczyć całą pracę chłopaków. Nie ostudziło to naszego zapału i zaczęliśmy budowę od nowa, obok rur. Od momentu przeniesienia hop były one podpalane, niszczone przez dzikie hordy dzieciaków biegających po wybiciach oraz przez okoliczną dresiarnię, która to „zaopiekowała się” naszą mównicą. Nasz dirt zbudowany został z gliny, dlatego każdy deszcz powodował rozmycie wybić i zalanie całego terenu. Dwa lata temu rozsypała się środkowa sekcja i nie została naprawiona do dziś z powodu informacji o nadchodzącym końcu naszej miejscówki.

Teraz, gdy w strugach deszczu oglądam pozostałości naszych hop i przypominam sobie najlepsze czasy tego miejsca, gdzie od rana do nocy było pełno riderów i srogie triki były na porządku dziennym, myślę o tych, którzy tu zamieszkają, a duchy Gościów Dirtu nie pozwolą im spokojnie zasnąć.



Test napinacza Mozartt

Tekst i test: **Aleksander Wieczorkiewicz**
Zdjęcia: **Konrad Grzegorzka, Kamil Knapiński**



Na początek słowem wstępu: Przez ostatnie pół roku uczestniczyliśmy w procesie udoskonalania napinacza produkowanego przez Mozartta. Na podstawie naszych spostrzeżeń i uwag w trakcie testu w napinaczu były wprowadzane zmiany. Co z tego wyszło? Przekonajcie się sami!

Zaczynamy!

Pierwsze wrażenie: Łooooo jakie to lekkie!

Drugie wrażenie: delikatne...

Montaż:

Wszystko fajnie, szybko, sprawnie. Zakładam korbę i łańcuch. I tu skucha: górna prowadnica pasuje, ale dolna nie – źle naprowadza łańcuch na zębatkę. Wypadałoby ją przesunąć do wewnątrz, tzn. bliżej ramy, ponieważ klatka zaczyna obcierać o zębatkę, a kółeczko tak naprowadza łańcuch na zębatkę, że łatwo spada przy kręceniu korbą do tyłu. Montuję tak, aby w miarę działało – klatkę wraz z kółeczkiem nieco odsuwam od zębatki – już tak nie rzezi i nawet działa.

 **mozartt**
precision riding components





Test pierwszy:

Pierwszy wypad w góry: padło na 3 edycję Pucharu Wierchomli. Trasa bardzo szybka, przez co łańcuchem nieźle rzucało. Pierwszego dnia łańcuch spadł 3 razy. Zaczynał spadać od wspomnianego już nieszczęsnego kółeczka w dolnej klatce. Dwa razy wbiłem się zębatką i napinaczem w pianiek. O dziwo sprzęt wyszedł bez szwanku, jedynie napinacz obrócił się na mocowaniu ISCG i oparł o wahacz. Poprawiam ustawienia i kolejnego dnia nic złego się dzieje. W dniu zawodów łańcuch spada jedynie raz, na szczęście na treningu. Dzięki miękkiemu tworzywu (w finalnej wersji odpowiednio pogrubione), z którego wykonane są elementy napinacza - łańcuch można łatwo i szybko założyć. Tylko przecież po to się ma w rowerze napinacz by łańcuch nie spadał...

Wprowadzone zmiany do pierwszej wersji:

Obie klatki prowadzące łańcuch nieco węższe. Dolna i górna klatka od strony aluminiowego bumerangu z cieńszego materiału, dzięki czemu będą znajdować się na linii łańcucha, natomiast grubsze od strony zewnętrznej dla poprawienia sztywności. Ustawienie napinacza względem linii łańcucha za pomocą podkładek pod śruby mocujące napinacz do ISCG.

Wersja druga:

Tym razem już z aluminiowymi śrubami.



Zamontowałem. Łańcuch na zawodach w Ustroniu spadł mi 4-5 razy. Którędy wypadał ciężko mi powiedzieć. Chyba przez górną klatkę, ponieważ często zostawał w dolnej prowadnicy. Do montażu nie użyłem ani jednej z podkładek dystansowych. Okazało się, że „ramiona” backplate/bumerangu napinacza wychodzą pod zbyt ostrym kątem i przy prawidłowym zamontowaniu dolna klatka opiera się o wahacz – zmuszony zostałem do obrócenia całego napinacza na mocowaniu ISCG. Przez to górna prowadnica nie znajduje się w prawidłowym położeniu. Projektowym założeniem tego napinacza było przeznaczenie do 4x i małych fulli - tam rzadko występuje kolizja napinacza i ramy.

Wprowadzone zmiany do drugiej wersji:

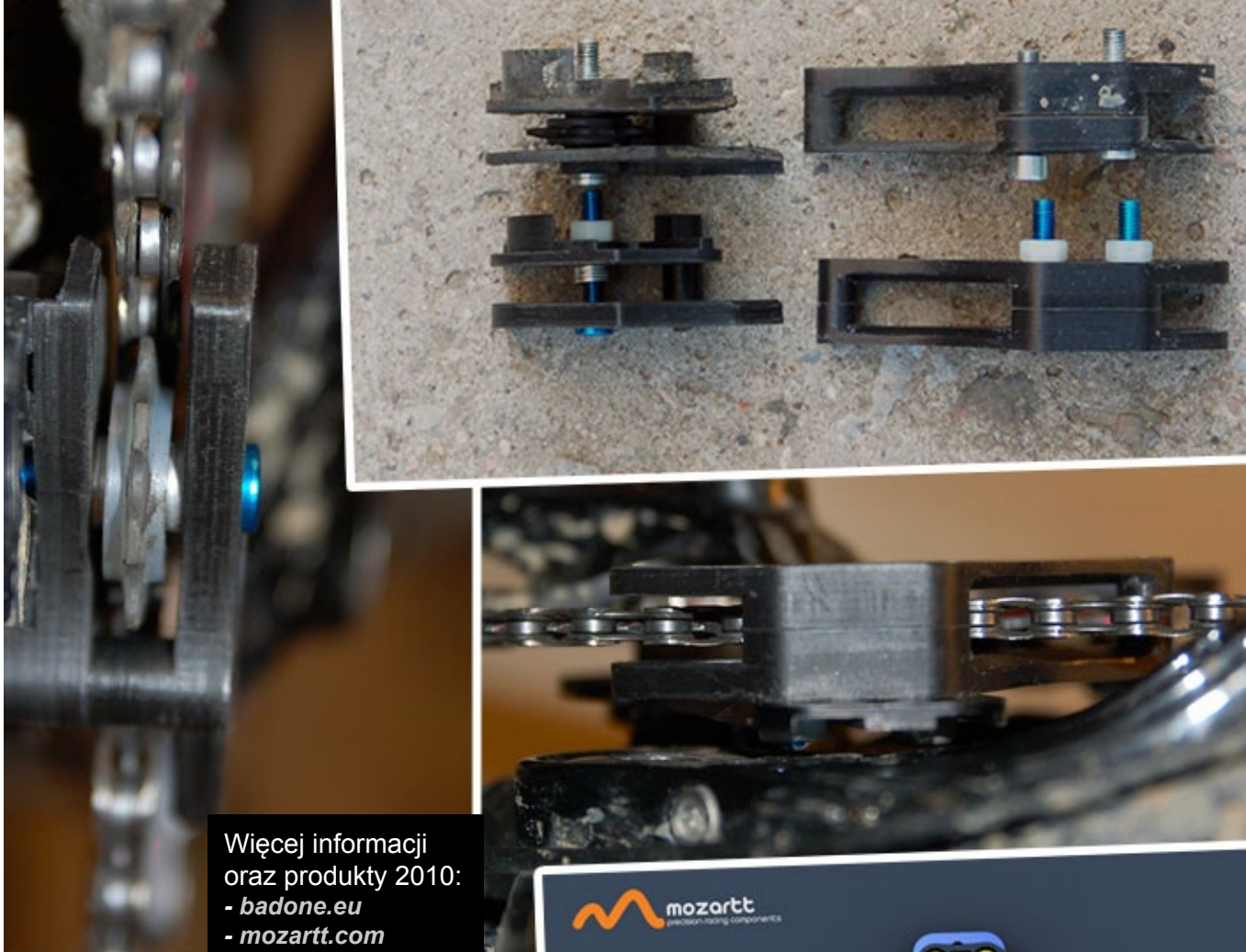
Backplate wykonany z bardziej rozwartym kątem (wersja wide).

Wersja trzecia i ostatnia:

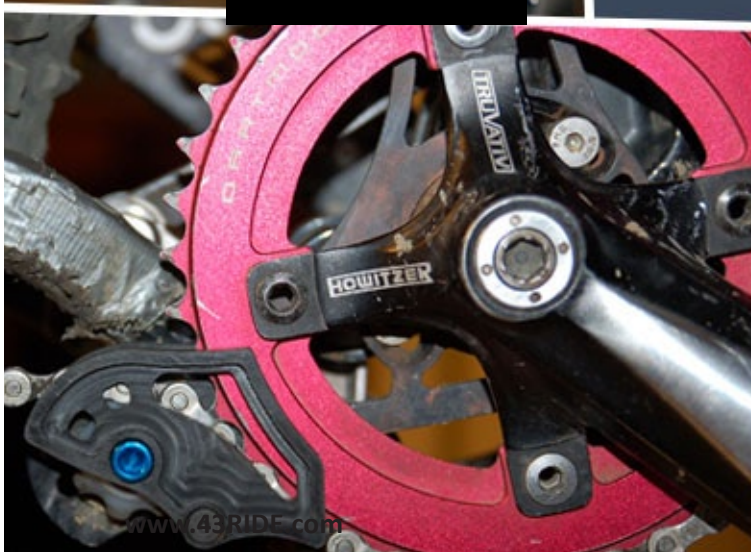
Wszystko wygląda fajnie. Wprawdzie napinacz jest w skrajnym położeniu na ISCG, ale może to i dobrze: jak oberwie jakimś kamieniem to się nie obróci i nie wciśnie się pod wahacz. Gorzej jak się połamie lub pognie. Z tym raczej trzeba się liczyć przy tak lekkiej konstrukcji. W wersji finalnej backplate przy dolnej rolce będzie miał grubość 6mm (w wersji testowej 4mm). Napinacz działa bez zarzutu, łańcuch nie spada.

Wraz ze śrubami aluminiowymi otrzymałem nakrętki z tworzywa sztucznego: Po całym teście, zostawiłem tylko jedną (od górnej prowadnicy). Nakrętki były zbyt delikatne i uniemożliwiały wystarczająco mocne dokręcenie prowadnic.

Podczas testu napinacz sprawdzany był na trasach zjazdowych, fourcrossowych a nawet na dirtach. Nie raz i nie dwa zawisnąłem napinaczem na kancie lądowania. Wielokrotnie oberwał niezidentyfikowanymi obiektami latającymi spod kół. Napinacz również wielokrotnie otarł się o leżące konary drzew. Test wytrzymałości zdał na 5+. Pracuje bardzo lekko, cicho i bezawaryjnie. Napinacz powstał z myślą głównie o four-crossie, natomiast jak pokazał test, doskonale sprawdza się również w downhillu.



Więcej informacji
oraz produkty 2010:
- badone.eu
- mozartt.com



Headcam VholdR

Test i zdjęcie: **Tomasz Profic**

Kilka miesięcy temu stałem się posiadaczem kamerki firmy Twenty20, model VholdR. Pierwsze co się rzuca w oczy, to jej niewielki rozmiar – kamera jest wielkości mniej więcej zwykłego telefonu komórkowego (będąc dokładnym 95x45x34mm). Parametry nagrywania nie są oszałamiające, ale wg mnie w zupełności wystarczają – rozdzielczość 640x480 przy 25fps. Do tego należy doliczyć obsługę kart MicroSD do 2GB oraz baterię, która umożliwia pracę przez ~2 godziny (akurat na 2GB kartę mieści się ~2h materiału). Ładowanie baterii to ~3h poprzez port USB.

Warto dodać, że kamera jest w aluminiowej wodoszczelnej obudowie, a dodatkowo posiada dwie bardzo ciekawe funkcje. Mianowicie, ruchomy obiektyw oraz 2 lasery. Obiektyw możemy obracać max o 90st w każdą stronę, co umożliwi nam ustawienie idealnego poziomu kadru, a wbudowane lasery pomogą nam w ustaleniu tego gdzie jest poziom oraz gdzie „patrzy” kamera (no i w terminatora można się pobawić ;)). Jeżeli chodzi o mocowanie, to w zestawie dostajemy tylko mocowanie do płaskiej powierzchni, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby dokupić np. mocowanie do gogli czy dodatkowe rzepy, które można przyczepić dosłownie wszędzie.

Wady? Hm... mocowanie za pomocą plastikowego klipsa i bardzo mocnego rzepa. O ile kamera bardzo dobrze trzyma się powierzchni montażowej, to niestety mocowanie to niezbyt dobrze tłumi drgania. Sprawa ta wymaga dopracowania, albo zamontowania lepszego systemu stabilizacji obrazu. Poza tym



przy szybkich przejściach z jasnego do ciemnego miejsca, urządzenie potrafi na chwilę zgubić „jakość” (charakterystyczna kwadratowa pikseloza), ale jest to domena wielu cyfrowych urządzeń.

Podsumowując, kamera VholdR jest warta rozważenia jeżeli ktoś szuka niezbyt drogiej kamery na kask o przyzwoitej jakości nagrywania. Ja jestem bardzo zadowolony, także kilku znajomych, którym użyczyłem kamery na wypad, wróciło z wielkim bananem na twarzy i stwierdzili, że

takie urządzenie to „fajna rzecz”. Po kilku latach od wprowadzenia VholdR, na rynku dostępny jest już model ContourHD z nagrywaniem w jakości Full HD. Osobiście planuję upgrade sprzętu do nowej wersji, więc bardzo możliwe, że w nadchodzącym sezonie podzielę się z Wami moimi doświadczeniami (przede wszystkim czy warto inwestować w HD).

Kilka nakręconych przeze mnie filmików:

- spqrtomas.pinkbike.com/channel/Tomas

- spqrtomas.pinkbike.com/channel/Whistler2009

Zdjęcie: **Maciej Bińczyk**
Rider: **Sebastian Dubiniecki**



Dziękujemy wszystkim za możliwość wykorzystania ich słów i obrazów! To dzięki Wam mogliśmy stworzyć ten numer 43RIDE. Pamiętaj, TY również możesz pokazać coś innym! Jeżeli chcesz podzielić się ciekawymi materiałami, skontaktuj się z nami! Czekamy na materiały do końca lutego 2010. Następny numer 43RIDE ukaże się pod koniec marca 2010. Przedruk i wykorzystanie w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej zgody redakcji 43RIDE są zabronione. Redakcja nie zwraca nadesłanych materiałów. Za treść publikowanych ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

43RIDE nie stanowi oferty w rozumieniu prawa i jest publikowane jedynie do celów informacyjnych. 43RIDE jest darmowym magazynem dostępnym do pobrania w formacie PDF ze strony www.43ride.com

Wydawca / Redakcja 43RIDE:

Magazyn PDF 43RIDE jest częścią strony 43RIDE.com

- red. naczelny **Zbigniew Nowicki** zbig@43ride.com
- **Tomasz Profic** tomasz@43ride.com
- **Justyna John** tina@43ride.com

Kontakt: gadu-gadu: **9579049**, tel. **+48 793 445 524**,
fax. **(0-22) 702 17 19**.

Współpraca:

- Adam Paruch
- Adam Tkocz
- Adam Woźniak awozniak.com
- Aleksander Wieczorkiewicz
- Antares Gryczan
- Artur Tokarski
- Bartosz „Szczęki” Krzysztoń jaws-freeride.com
- Bartosz Podkowiński
- Ewa Kania
- Jacek Kaczmarczyk jacekslonik.pl
- Jakub Jarosz
- Jakub Wittchen flickr.com/photos/jakubwittchen
- Jędrzej Cegielski
- Kamil Knapiński skuter17.digart.pl
- Karol Wojciechowski
- Karolina Krężel theoldpricks.com
- Kinga Kęska
- Konrad Grzegorzka
- Krystian Flemming krystek22222.digart.pl
- Kuba Ślęczka
- Maciej Bińczyk
- Michał Chodkowski
- Michał Sikora
- Rafał Wypiór vel Mecenias
- Robert Hryszko
- Tomasz Rakoczy tommysuperstar.com

International photographers:

- Michael Clark /Red Bull Photofiles
- Red Bull Photofiles redbull-photofiles.com